



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 22 maja 1955 r.

Nr 21 (269) Rok VI

Układ który łączy

Codziennie na Krakowskim zbierał się tłum, przystawał naprzeciw pałacu, spoglądał na dziedziniec, gdzie nad rzędami czarno połyskujących aut spływały z wysokich masztów flagi państw uczestniczących w Konferencji. Na tych flagach, na tym pałacu, na tej starej warszawskiej ulicy z rozkwitłymi świeżo drzewami wokół Mickiewicza, ulicy Prusa i Szopena, spoczywał przez tych dni parę wzrok całej Europy. Tu bowiem zastanawiano się nad zapewnieniem trwałego pokoju i bezpieczeństwa nie tylko Warszawie i Moskwie, Budapesztowi i Pradze, ale tak samo Paryżowi i Brukseli, Rzymowi i Hadze, Londynowi i Gandawie.

Narody europejskie zdają sobie doskonale sprawę z niebezpieczeństwa, jakim dla ich przyszłości jest odbudowa niemieckiego militarysty. Pamiętają one czas, gdy przekształcona w wehrmacht reichswera zaczęła maszerować, gdy złamawszy traktat wersalski, Hitler wkroczył do Nadrenii. Pamiętają ukoronowaną przez Monachium zbrodniczą politykę ustępstw wobec faszyzmu i jej fatalne rezultaty, pamiętają tragedię osamotnienia w obliczu hitlerowskiej napaści. Zaznała też gorzkiej samotności republikańska Hiszpania w trzydziestym, poczuła ją Austria w dobie anshlusu, doświadczyła jej Czechosłowacja wiosną 1939. Polski Wrzesień i francuski Czerwiec jakże były do siebie pod tym względem podobne!

Dziś, gdy wehrmacht odradza się pod amerykańskimi auspicjami, chrzestni jego ojcowie znowu dążą do rozdarcia Europy, rozbicia jej obronnych wysiłków.

Ale dzisiaj sytuacja przedstawia się inaczej niż wtedy, w latach trzydziestych. Wówczas Związek Radziecki, jedyny potęgą świata, jednolity i niezłomny.

Nie powiodła się amerykańskim politykom „zimna wojna”. Poparzyli sobie na niej palce. Nie powiedzie się im również „polityka siły”. Konferencja Warszawska ostudzi ich gorące zapęły.

W odpowiedzi na układy, które miały podzielić Europę, został zawarty w Warszawie układ, który Europę łączy, zespała jej wysiłki. Bo chociaż wśród flag, powiewających przed pałacem, gdzie obradowała Konferencja, zabrakło francuskiego tricoloru, naród francuski swoje barwy wśród nich zobaczył. Widzą wśród nich tęczę swoich barw narodowych również inne ludy europejskie.

Ten układ jest otwarty: każdy rząd, jeśli pójdzie za głosem swej ojczyzny, jeśli naprawdę jest mu droga sprawa pokoju, wolności, bezpieczeństwa, może każdej chwili do układu tego przystąpić.

W tym też zawiera się Układ Warszawski najgłębszy, optymistyczny, mobilizujący sens.

Krzysztof Gruszczyński

LESŁAW BARTELSKI I WILHELM MACH

Ziemia Świerczewskiego

Od Sanoka spoglądamy na krajobraz z rosnącą niecierpliwością, zbliżamy się bowiem do celu podróży. Mijamy pola naftowe, położone na pochyłościach, gdzie jednostajnym rytmem nasamolowane kiwiory stukają w ziemię jak olbrzymie czarne stępy, pod trójnogiem belek. Nigdzie człowieka! Kiwiory kiwają się niby senne kruki, czasem zdarzy się wieża wiertnicza. Szosa wiję się serpentynami, odsłaniając szeroki widok na dolinę pośród łagodnych wzgórz. San ginie na północy pod pasmem Pogorza Birczańskiego, spieniony i bystry, łamiący swój nurt o kamienie. Od Zagorza, wielkiej osady kolejarskiej, która jest prawie przedmieściem Sanoka, pnemy się w górę, a ze szczytu wyłania się niebawem zarys miasteczka. Lesko leży na wzniesieniu, wokół już góry, dolina Sanu prowadzi ku Bieszczadom. Miasteczko jest zniszczone, część rynku leży w gruzach, zmniejszył się stan ludności. Wieża kościoła, osadzonego ciężarem na północnym zboczu, nosi wyraźnie charakter obronny. W parku, wśród pięknego starodrzewia, przy zamku Krasickich, tkwią ruiny bunkra żelbetowego. Bronił on w 1941 roku przejścia przez San; po drugiej stronie rzeki, na Huzelach, stały już posterunki hitlerowskie. San był wtedy rzeką graniczną.

Wjeżdżamy w miasteczko, domki małe, błyszczące bielą fasad, ulice opadają w dół ku jarom od rynku i plant. Przy Radzie Miejskiej pośrodku połączonych ulic, jak nas informują, jedyny pomnik tego rodzaju w Polsce. Wojna skończyła się bowiem dla Leska dopiero latem 1947 roku, kiedy wojsko rozbiło ostatecznie silne oddziały band UPA, grasujące w okolicy. Pokój przyszedł więc do Leska spóźniony o dwa lata.

Od tego czasu Lesko toczy walkę z Sanokiem o usamodzielnienie się. Dopiero co powstał PZGS, nie ma jeszcze szpitala powiatowego (brak budynków), jeszcze wiele instytucji uważanych jest za przybudówki sanockie. „Ruch” i „Dom Książki” skarżą się, że są traktowane na szarym końcu. Jakies pięćno prowincji zabitej deskami ciążyłoby nad Leskiem, gdyby nie ludzie kierujący powiatem. Są energiczni, młodzi, wychowywali ich trudne warunki walki. Jobczyk, przewodniczący Frontu Narodowego, był pomocnik maszynisty z Siedlece, jest oficerem armii Świerczewskiego, mnóstwo jego kolegów walcząc w tych stronach po wojnie osiadło później na stałe. Pożenili się, związali z tą ziemią, gdzie tyle żołnierskich cmentarzy i gdzie żoł-

Powiat leski ma kształt trójkąta, którego ramionami są rzeki San i Oslawa, zaś podstawą na południu pasmo Bieszczadów. Większość osad, łącznie z siedzibą powiatu Leskiem, pozbawiona jest komunikacji kolejowej. Jedyna linia przecina powiat na północy, u stóp Pogorza Birczańskiego, wiążąc Zagórz z Ustrzykami Dolnymi. Powiat jest wydłużony, posiada niespełna 15 proc. stanu przedwojennego. Jeśli jeszcze weźmiemy pod uwagę, że przemysł nie ma, zaś cały południowy pas to góry, a wiele wsi, jak np. Jabłonki, opodał których zginął Świerczewski, zostało spalonych przez banderowców, że „bory są pełne zwierzyzny, a rzeki ryb”, tym jaśniej zarysuje się nam charakter tego podgórskiego kresowego powiatu, którego największe z osiedli nie przekracza 2 tys. mieszkańców. Zaczątek przemysłu naftowego i drzewnego rokuje nadzieję na przyszłość, dziś jednak jest to powiat wybitnie rolniczy, w którym jeszcze tysiące hektarów leżą odłogiem. Zagospodarować je mają PGR, ale ludzi tu wciąż mało! Na ironię zakrawa fakt, że powiat ten przed wojną należał do najbardziej zaludnionych terenów w Polsce i w 1932 roku toczyły się tu walki zbrojne (tzw. powstanie leskie) o ziemię.

Kierowanie takim powiatem nie jest łatwe, ale sądzę, że Koryl, Jobczyk, Flaga, Lenart wiedzą czego chcą. Są to przedstawiciele nowej inteligencji, wyrosłej w naszej Polsce, z walki o nią, dlatego nieoportunym im jest każda sprawa w powiecie. A jednocześnie przy tak niskiej cyfrze ludności powiat wydaje się tak mały, że można znaleźć prawie każdego człowieka w powiecie osobiście.

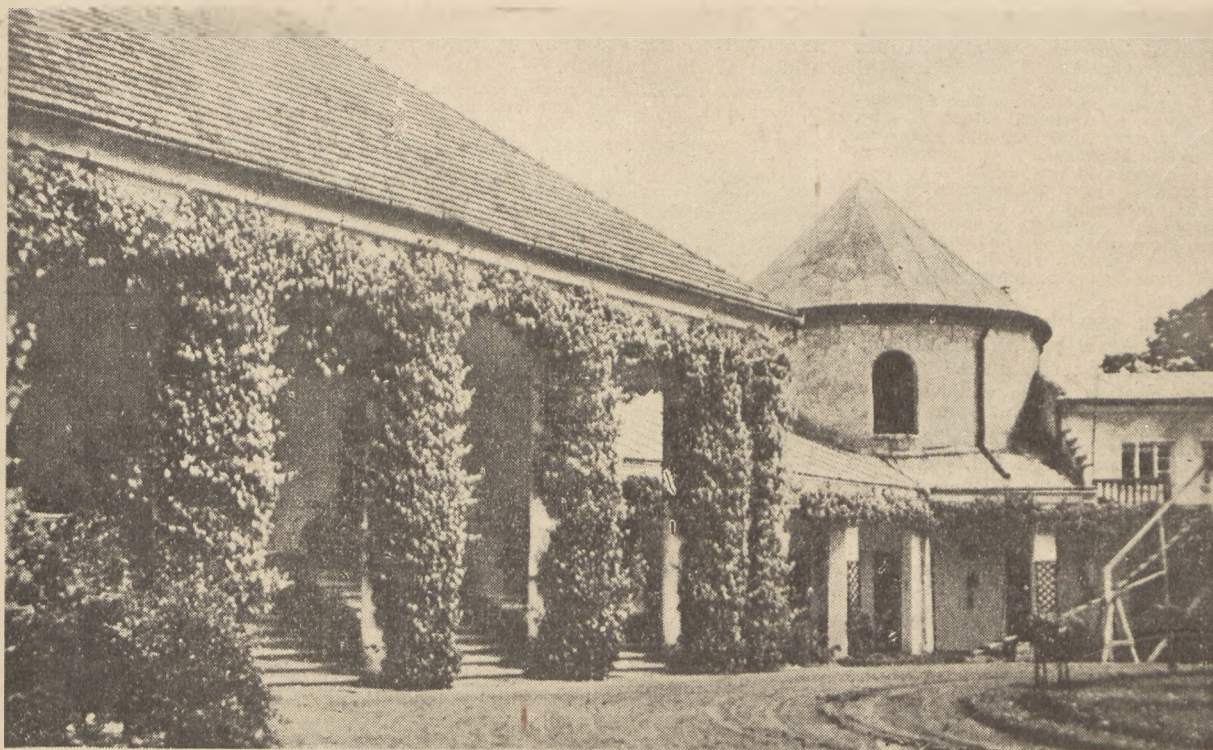
Rozbudowa powiatu idzie wielotorowo. Wszystkie gromady mają już siedmioklasówki, od tej pory władze powiatowe zaczynają toczyć walkę o jedenastolatki. I pomyśleć, że przed wojną nie było w powiecie ani jednego gimnazjum! Któż zresztą miał uczęszczać do niego, dzieci obszarników, które miały pobliski Chyrow, dzieci urzędników państwowych czy też chłopięckie dzieci, których ojcowie podnosili zbrojny bunt przeciw państwu w latach kryzysu? Dziś większość uczęszczających do gimnazjum w Lesku to synowie chłopów, i sami chłopcy dbają o to, by ich dzieci mogły uczęszczać do szkół. Byliśmy na małej uroczystości — w Stefkowej przedsięwzięcie budowlane przekazywało władzom szkolnym świeżo ukończony budynek. Niedawno potoczku, pod lesistym wzgórzem piękny biały budynek murywany w stylu podhalańskim, który pomieści nie tylko szkołę, lecz i mieszkania dla nauczycieli (z la-

okolicy, niemal każdy zakątek cechuje jakiś własny urok, że wzgórzą czasem wytryskają bazaltowe skały, na zboczach których pachną w słońcu jaskowce. Szkoła stoi pod lasem, płaki jesienią będą odpowiadać dzieciom, które wejdą do tych wspaniałych sal. A budynek zaczęto budować obywatelską przemyślnością, kierownik rozdł po rodzicach i przekonywał, aby pomogli w pracy, przyczynili

cie rzeczy pochwałą cywilizacji i pochwałą walki człowieka z przyrodą. Przejeżdżający ciągnik wyrwa nas z zadumy, ciężkie pnie buczyny kołyszą się na kiepskiej drodze. Jeszcze długo echo przejeżdżającego dźwięku motoru w lesnej ciszy, mieszając je z szumem rzeczki i śpiewem ptaków w olszynie. Ziemia, ziemia, wolna ziemia! Ileż pochłonie pracy, nim człowiek ją opamię.

tyczne, choć niezłego powieściopisarza. Goslar nie mógł się pogodzić z reakcyjnymi poglądami autora „Olbrachtowych rycerzy” i powędrował dalej.

My zaś wkroczyliśmy do Leska w święto 1 maja pod czerwonymi sztandarami, zaraz ze egzekutywą powiatu. Za nami szli w sportowych kostiumach chłopcy z liceum i z LZS-u, potem jechała banderia konna PSK, za kierownikiem cwa-



Lesko. Dziedziniec zamku, o którym zapomina wojewódzki konserwator.

się do tego wydatnie rolnik Wiśniewski, były oficer Świerczewskiego, który stanął na czele Komitetu Budowy, no i oczywiście pomógł. Ładze powiatowe, które w województwie zdobyły potrzebne fundusze. Szkoła została zbudowana za pieniądze społeczne, za część zebranych na budowę stolicy składek. Myśl o budowie Warszawy towarzyszyła myśli o budowie szkoły — czyż dla nas, warszawiaków, nie mogło to być najpiękniejszym powiązaniem stolicy z oddaloną o sześćset kilometrów na południowy wschód wsią rzeszowską?

W Olszanie, sporej wsi, w dawnym majątku obszarniczym mieści się dyrekcja jednego z dwu zespołów PGR-ów powiatu leskiego. Drugi zespół powstał niedawno w Baliogrodzie. Przy drodze z Jabłonki do Cisy widzieliśmy świeżo postawione baraki. Dziwnie wyglądały w tym pustkowiu. Obrósł wysokiemi trawami i jeszcze jesiennymi

Do baliogrodzkiego zespołu będzie należało zagospodarowanie małego wyzyskanych po wojnie polonin, zespół Olszanica już dziś jest nastawiony głównie na hodowlę owiec, posiada ich parę tysięcy. W Olszanie znajduje się również drugi ważny ośrodek przebudowy wsi — POM. Traktorzyści tej spóźnionej wiosny orali do późna w noc, by odrobić zaniedbania, ukończyli prace w polu przed 1 maja. Przyjechał do Leska oszołomieni zmęczeniem, śniętym, nagłym upałem i napitkiem. Po defiladzie zablowali gospodę, przecież to było właściwie ich święto! W Olszanie na leśnym lasu, nad potokiem, prawie naprzeciw stacji kolejowej wyrasta osiedle POM-owskie. Kryte czerwona dachówka pomieszczenia dla załogi sasiadują z halami warsztatów. Traktory nieznane do wojny na tej ziemi wdierają się do każdej gromady, a teren to trudny, podgórski, wiele zagonów leży na zboczach.

W Uhercach, za oborą i narzedziwnią spływa zboczem ciemne w barwie pole rzepaku. Kierownik Ross prowadzi nas do zakopcowanych ziemniaków, by pokazać, ile jeszcze może wywieźć sadzeńców z majątku. Wyjmuje kartkę z portfela i wskazując na ziemne kurhaniki, usiłuje nas tym zainteresować, widzimy że dla kierownika to sprawa naprawdę poważna. W oborze i stajni zarazem — piękne krowy czerwonej rasy, każda z tabliczką, na której kreda zostały nakreślone dane. Dalej parę ciężkich koni, to szwedzkie perserony, które przed laty znalazły się tutaj z łaski baganana panującego w Ministerstwie Rolnictwa. Ciężkie, o szerokich zadach konie nie chciały wyjść z wagonu, te nizinne zwierzęta czuły lęk przed górami. Zostało ich już nie wiele, złość bierze, gdy się pomyśli o takim, z pozoru beznadziejnym marnowaniu dobra społeczne. I mówię, że nie było u nas walki klasowej!

Uherce należą do zespołu Olszanica, majątek niewielki, ponad 150 hektarów, dobrze zagospodarowany, Ross nie pobraża sobie i ludziom. Dawny dwór stoi przy dużym jasnym kościele, niedaleko porządną murywaną cerkiew. Chaty we wsi niedzne, po większej części kryte strzechą słomianą, w przysiółku Wygnanka, wciśniętym między szosą a wzgórzem, sady.

Te strony mają wielką tradycję ruchów chłopskich. W 1846 roku z Uherców wyruszył wraz z Jerzym Bułharynem, oficerem powstania listopadowego, rewolucjonista Julian Goslar, z pomocą przyszli mu robotnicy hut żelaznej w Miśnie. Celem ataku powstańców miało być Sanok. Wybuch rabacji pokrzyżował te śmiałe plany. Goslar schwytyany w Haczowie pod Krosnem dostał się do więzienia, z którego wyszedł po dwóch latach. Wrócił znów w Lesko, udając się do Bereźnicy, posiadłości Zygmunta Kaczkowskiego, mętnego poli-

łowała jego córka w ZMP-owskiej bluzie. Potem jechali znowu chłopcy, w których szeregu niesiono olbrzymią kukurydzę wymodelowaną z bibuлки, ktoś na jej widok szepnął: — Oto bomba atomowa! Największy entuzjazm wywołał jednak taganroski kombajn, pierwszy w powiecie!

II

Co za wieczór! Miasto się krząta, miasto przysposabia świąteczne odzienie, fasady domów już się jarzą niezwykłą obfitością światła, białe i czerwone od flag, przejrzyste zielonawo od zaproszonych wiosną drzew, błękitnie i złoto od pogodnego w górze nieba. U fryzjera tłoczno, w gospodzie wesoła gorączka, u wejścia do parku przy kiosku z piwem jeszcze jedno towarzyskie rendez-vous, a dalej, na ławeczkach pod kasztanami, osłonięty cieniem szept i niesamotna cisza. Ulice rozbiegają się po stokach w górę i na dół, ku rzeczce, powietrze kwitnie zapachem ciepłym i rześkim, pod czarnym masywem zamku San gnie się w stalowy sierp i — och, niebezpieczne jest, Lesko stare i piękne, bo jakże kusisz do złej poezji! Zaczekaj na liryków, ich uwodź! My tu idziemy do zamku, do spadkobierców byłych jego właścicieli, z realną sprawą, myśmy się tu umówili z panią Lachman, polonistką w miejscowej szkole. Nie wejźmy do wnętrza, bo godzina już późna. Nim wywołają nauczycielkę na dziedziniec, dowiemy się, że pałacowa, młodsza część zamku — to obecnie internat, przedszkole i część liceum; wszystko to przewidziano i trochę na udrę z urzędem konserwatorskim, który do zabezpieczenia historycznie cennej, bo z romańszczyzny jeszcze poczętej budowlę się nie kwapi, ale i korzystać z niej nie pozwala. A miasto potrzebuje nadzwyczajnie, a szkoły średniej nigdy tu dawniej nie było, a buduje się i tak ponad terminy wojewódzkich i stołecznych obietnic, własnym rozpedem, a więc i o nowej szkole, i o nowym internacie już się myśli — „uczniemy, potem się zobaczy, co dalej”.

Droga pani profesor Lachman, posłanko delegowana na najdalszy kresowy powiat na służbę ojczyściej kulturze, entuzjastko książek, wytrwała, cierpliwa i pełna woli najlepszej czytelniczko gazet literackich, przyjacielu wierny uczącej się młodzieży — tusmy ci zastali późnowieczorną porą, przy wychowanek, których wspierasz pomocą i otuchą w przedmaturalnych zapasach z podręcznikami. Wyszłaś do nas bez płaszcza, nie poczułaś ciągnącego od rzeki chłodu, ucieleszona odwiecznymi — zawstydziła nas swym radosnym zdumieniem, swą akuratańską wiedzą o wszystkich literacko — warszawskich sprawach, lecz był to wstyd niedotkliwy, bez niewygod, ciepły od wzajemnej ufności. Jakżeś nas swym powitanie-

(Dokończenie na str. 2)



Szkoła w Stefkowej, grom. Olszanica, front od strony północnej.

nierską śmiercią poległ ich dowódca. I ta ziemia Świerczewskiego stała się dla nich czymś więcej niż tylko miejscem zamieszkania. Zostali jej pełnoprawnymi obywatelami, zrozumieli ją jako odpowiedzialność na nich ciąży, więc dzisiaj rządzą nią i prowadzą ku przyszłości. Dlatego są ambitni i uparci, gdyż wiedzą czego chcą, naprzykrzający się władzom wojewódzkim i centralnym z przekonaniem, które przełamuje opory; zna ich PKPG i poszczególne ministerstwa, wyklócają się bowiem o swoje prawa, przekonują, argumentują i biją się o inwestycje. Znają wartość krwi, która wsiąka w tę ziemię.

zienkami!), pachnie wapnem i pokostem. Na tarasie od południowej strony, który wiosną, latem i wczesną jesienią będzie służył za miejsce apelów, stoją jako przybranie choinki. Występuje wzruszony kierownik szkoły, okulary zjeżdżają mu z nosa, oddycha ciężko. Trzech harcerzyków salutuje sztandar, podczas gdy jeden z nich gra fanfary. Dłonie unoszą się na wysokość czoła, oczy z powagą patrzą na zebranych. I kiedy przemówienie kończą się okrzykiem: Niech żyje!, odbijany echem w lesie, odpowiada na nie kukulka. Nie jest to poetycka metafora, lecz stwierdzenie faktu — piękne są tu bowiem

chaszczami, przypominają w swym prymitywnym romantyzmie pionierskie osady Dzikiego Zachodu, tak dobrze znane z lektury lat dziecińczych. I choć w pobliżu pracowały na polach traktory, nie mogliśmy się wyzbyć pewnego uczucia smutku. Nadmiar ziemi przytłacza tu człowieka, dając mu jednocześnie wrażenie jakby zerwania z cywilizacją, a tym samym poczucie całkowitej swobody. Są to myśli złudne i fałszywe, myśli ludzi zmęczonych wielkim miastem, lecz w tej nieogarniętej wzrokiem dolinie, zamkniętej szczytami najeżonymi lasem, zmieniają one swój zasadniczy sens. Wyrażają bowiem w isto-

STANISŁAW JODŁOWSKI

Sytuacja w ortografii polskiej ⁽¹⁾

Zanim odpowiem na pytanie wysunięte w ankiecie przez Redakcję „Nowej Kultury”, spróbuję pokrótce wyjaśnić pewne zagadnienia z zakresu ortografii polskiej, co Czytelnikom ułatwi orientację w dość różnorodnej problematyce ortograficznej, mnie zaś pozwoli moje stanowisko bardziej przekonująco uzasadnić.

1. PODSTAWY TEORETYCZNE ORTOGRAFII POLSKIEJ

Podstawy teoretyczne ortografii polskiej nie są jednolite; składa się na nie pięć różnych czynników: fonetyczny, morfologiczny, historyczny, znaczeniowy i czysto umowny. Czynnik fonetyczny przejawia się m. in. w uwzględnianiu dzwięczności lub bezdzwięczności w pewnych przedrostkach.

Np. piszemy: *wesprzeć, westchnąć, ale: weszbrać*. Ten sam przedrostek raz piszemy jako *wes-*, drugi raz jako *wesz-*, zależnie od tego, czy jego końcówka spółgłoska jest w związku z sąsiedztwem wymawianą dzwięcznie, czy bezdzwięcznie. Podobnie piszemy: *skupić, spłamić, stumić, ale: zgubić, zbłądzić, zdławić*. Ten sam przedrostek raz piszemy jako *s-*, to znów jako *z-*, w zależności od tego, czy go w związku z jego sąsiedztwem wymawiamy dzwięcznie, czy bezdzwięcznie. Pisownia uwzględnia też miękkość spółgłosek. Wymieniony przed chwilą przedrostek *s-* piszemy też w bardzo wielu wyrazach, zgodnie z wymową, jako *s-*, np.: *ścierać, ścinać, ślekać, ścinać*. W wyrazach tych pod wpływem miękkiego sąsiedztwa przedrostek *s-* uległ zmięczeniu i wymianie na *ś-*, co też znalazło wyraz w pisowni. Ponadto pisownia uwzględnia w pewnym zakresie wymianę spółgłosek *a* (zobowiązać) na *o* (zobowiązać), np. piszemy zgodnie z wymową: *plasek, piasek, plaskownia, deska* (przez *s*), *ale: plaszczysty, deszczulka* (przez *sz*).

Czynnik morfologiczny znajduje zastosowanie w pisowni takich wyrazów, jak np.: *sól, orzeł*.

W wyrazie *sól* (mimo wymowy przez *z*: *ożel*) piszemy przez *z* ze względu na wymienność tego *z* w innych formach wyrazu lub w wyrazach pokrewnych na *r* (ze względu na formy: *soli, solna*, oraz wyrazy: *solić, posolić, solanka, solniczka* itd.).

Pisownia wyrazu *orzeł* (mimo wymowy przez *z*: *ożel*) piszemy przez *z* ze względu na wymienność tego *z* w innych formach wyrazu lub w wyrazach pokrewnych na *r* (ze względu na formy: *orle, orlem, orły*, oraz wyrazy *orli, orlić* itd.).

Czynnik historyczny jest podstawą pisania takich wyrazów, jak np.: *góra, rzeka*.

W wyrazie *góra* pisowni przez *ó* nie podtrzymuje ani wymowa (mówimy: *gu-ra*), ani morfologia (ani w odmianie tego wyrazu, ani w jego formach pokrewnych nie ma wymiany na *o*). Pisownię podtrzymuje jedynie tradycja, źródło zaś tej pisowni tkwi w pierwotnej wymowie (i pisowni) tego wyrazu przez *o* (*gora*), które to o do dziś dochowało się w innych językach słowiańskich (np. w rosyjskim: *gora*). Podobnie jest z pisownią wyrazu *rzeka*. Pisowni przez *z* nie uzasadnia tu ani wymowa (mówimy: *zeka*), ani morfologia (brak wymiany na *r*). Pisownia ta utrzymuje się jedynie tradycyjnie, źródło zaś jej tkwi w pierwotnej wymowie tego wyrazu najpierw przez *r* (*rieka*), później przez *z* (*rzeka*). Wyraz ten zachował r jeszcze w innych językach słowiańskich (por. np. rosyjskie: *rieka*).

Czynnik znaczeniowy jest m. in. podstawą użycia małych lub wielkich liter. Mianowicie małą literą pisze się w zasadzie nazwy pospolite (gatunkowe), wielką zaś w zasadzie imiona własne.

Wyłącznie *umowa* jest podstawą m. in. pisania wielką literą. Nazw narodowości (*Polak, Rosjanin, Niemiec* itd.); nazwy te nie są bowiem imionami własnymi, lecz są to w istocie nazwy pospolite (gatunkowe).

Podobnie z umową wynika pisanie w tytułach książek i wydawnictwach rozpraw wielką literą pierwszego wyrazu, zaś w tytułach czasopism i wydawnictw ciągłych — też dalszych wyrazów. Na umowie opiera się też pisownia końcówek *-izm, -yści, -izm, -yści* oraz pisownia łączna i rozdzielna grup wyrazowych.

Z przedstawionych czynników oczywiście podstawowym jest czynnik pierwszy, fonetyczny, polegający na uwzględnianiu w piśmie różnic wymowy. Jednakże czynnik ten ulega daleko idącemu ograniczeniu na korzyść innych czynników, przy czym dominującą rolę w tej konkurencji odgrywa czynnik umowy. Konwencja nie tylko stanowi wyłączną podstawę pisowni szeregu wyrazów, ale też decyduje o granicach stosowalności pozostałych czterech czynników. Mianowicie: jedne wyrazy piszemy zgodnie z wymową, drugie zgodnie z ich właściwościami morfologicznymi, inne zgodnie z tradycją, inne zgodnie z ich znaczeniem, fakt jednak doboru tego czy innego kryterium jest wynikiem zwyczajowej lub teoretycznej konwencji.

Ta właśnie podstawowa cecha charakterystyczna systemu ortograficznego: jego konwencjonalność, obok dobrych stron ma też i złą, jest bowiem źródłem chwilejności systemu. Problem przesunięcia zasięgu zastosowania poszczególnych podstaw ortografii z tendencją do przeniesienia jak największej ilości materiału wyrazowego do dziedziny pierwszej, do „idealu” pisowni fonetycznej — to problem ciągle aktualny, problem nurtujący i emocjonujący szerokie masy społeczeństwa i wybuchający w gwałtownych dyskusjach, gdy tylko ktoś czy celowo, czy nawet nieopatrznie, tego problemu dotknie.

2. NIEREALNOŚĆ „IDEALU” FONETYCZNEGO

Ze do fonetycznej podstawy pisowni przywiązując dużą wagę, świadczymy fakt, że już wyżej fonetyczny czynnik pisowni określiłem jako podstawowy. Jednakże z doświadczenia tego wynika, że może on być zastosowany w stu procentach. Pisownia fonetycz-

na musi się natknąć nawet na dość ciasne granice, i to właśnie w imię łatwości i przystępności.

Obok głosek podstawowych, występujących samodzielnie i zachowujących bez zmiany swe zasadnicze brzmienie, w pozycjach tzw. zależnych występuje szereg odmian wymowy danych głosek, będący wynikiem różnych upodobań.

Np. w wyrazie *słońce* nie wymawiamy właściwej głoski *ń*; głoska ta ulega tzw. rozumięciu na *j* nosowe oraz na *n*. W rezultacie wyraz ten wymawiamy jako: *sto + j* nosowe + *n* + *ce*. Podobny proces zachodzi np. w wyrazie *tańszy*, z tą jednak różnicą, że tu głoska *n* znika, jej zaś nosowość wchodzi bez reszty w obieg *j* nosowego, tak że w rezultacie wyraz ten wymawiamy jako: *ta + j* nosowe + *szy*.

Z tych subtelności wymowy oczywiście ogół piszących sobie sprawy nie zdaje, stąd też żądanie w tego typu wyrazach pisowni zgodnej z wymową powodowałoby wprost niesamowite trudności. I tu się okazuje, jak zbawienią zasadą jest właśnie oparcie pisowni na konwencji, która, zalecając oznaczanie tu głosek zasadniczych, bez względu na subtelności ich aktualnej wymowy, pisownię normalizuje i w ten sposób ostrzega ją przed manowacami, na które by ją sprowadził ścisły fonetyzm.

Wymowa bywa też niekiedy rozbieżna. Np. gdyby się wyraził *Patriota* miało pisać zgodnie z wymową, wiele osób byłoby w kłopotie i w rezultacie jedni pisaliby go przez *-yjo-*, drudzy przez *-ijo-*, inni przez *-le-*, inni wreszcie przez *-Jo-*. Przed tą rozbieżnością chroni pisownię normalizowaną: przez *-io-*. Podobne kłopoty nastroczałyby wyrazy takie, jak wyraz *kwiat*. Na niektórych terenach Polski wymawia się w tym wyrazie *w*, większość jednak Polaków wymawia *t*. Przed tą rozbieżnością chroni pisownię zgodną z wymową zakończoną pisownię: *kwiat*, *strzec* itd.

Na tym tle nie tylko zupełnie zrozumiałe, ale nawet celowe wydaje się rozszerzenie fonetycznego charakteru pisowni bezokolicznika przez zastąpienie liter *z* i *ł* literą *ś* w takich formach, jak: *grzyć, grząść, leść, wieść*. Formy te nastroczały wiele trudności, ich poprawna pisownia wymaga uciekania się do związków morfologicznych (grzyć — *ć*, bo: grzyć — *ć*, wieść — *ć*, bo: wioz — *ć* itd.). O wiele prostsze, a przedstawionymi ogniwami procesu fonetycznej usprawiedliwiona, byłaby pisownia: *grysć, grząść, leść, wieść*. Prof. Nitsch (Język Polski XVIII, s. 20) pisownię: *grysć* itp. określił jako najzupełniej możliwą.

Przedstawione objawy ograniczenia morfologicznej zasady pisowni natrafiają jednak na pewną zaporę. Nie sięgają one w obieg takich form, jak np.: *grubszy, młodszy, lawka, bluzka, staw, straż*. Dopuszczenie pisowni: *blec, strzyce, niski, ślaski* można byłoby uznać za znaczny osłabienie poczucia związku słowotwórczego tych wyrazów z wyrazami pokrewnymi, w których występują odpowiednie spółgłoski dzwięczne. Natomiast w stosunku do wyrazów: *grubszy, lawka* itd. jest jeszcze bardzo silne poczucie ich więzi z wyrazami podstawowymi: *gruby, lawa* itd. Te same względy przemawiają też za konsekwentnym utrzymywaniem pisowni wyrazów z tzw. „wymienności” *ó* i *z*, mianowicie pisze się *nóż* (bo: noże), *lekarz* (bo: lekarka) itd. I o ile nawet przeciw tym niefonetycznym *ó* i *z* odzywały się nieraz głosy sprzeciwu ze strony przedstawicieli społeczeństwa, to opinie teoretyków ortografii na ten temat miały raczej charakter zachowawczy. Decyduje tu bowiem wzgląd na normalizujący pisownię i ułatwiający pewność nawyków orto-

graficznych wpływ stałości obrazu graficznego tematu w paradygmacie fleksyjnym czy rdzenia w rodzinie słowotwórczej. Ten wzgląd też zapewne sprawia, że np. i w ortografii rosyjskiej nie oznacza się tzw. „akania”, lecz stosuje się w całym paradygmacie wyrazu literę *o*, niezależnie od pojawiania się w wymowie głoski *a*, jak również nie oznacza się tam w pisowni przejścia w i, jakiemu ulega w wymowie nie akcentowane *e*.

To konieczne ograniczenie zasady fonetycznej do zasobu znormalizowanych znaków podstawowych nie wyklucza jednak możliwości dokonania w ramach tego znormalizowanego systemu pewnych uproszczeń i usprawnień, o których mowa niżej.

3. SIŁA CZYNNIKÓW MORFOLOGICZNYCH

Najmniejszą podatną do ograniczeń jest morfologiczna podstawa pisowni. Co prawda, to i w tej dziedzinie poczyniono w ciągu wieków szereg ustępstw na korzyść zasady fonetycznej.

Tak np. w miejsce pisowni: *ślazk, ślaski, nizki, blizki* itp. (opartej na pokrewieństwie morfologicznym z formami: *ślazka, nizina, nizeł, blizutko, blizki*), ustalono się na wymowie opartej pisowni: *ślask, ślaski, niski, bliski, walski* itp. Podobny charakter ma stopniowo wycofywanie zasady morfologicznej z zakresu pisowni bezokolicznika: najpierw w miejsce (sporadycznie) *zresztą* niefonetycznej pisowni: *bydź, idź, kładź, dadź* (opartej na formach: *bede, ide, kładę, dadzę*) ustalono fonetyczne: *być, iść, kłaść, dać*; następnie w miejsce morfologicznie wyrozumowanych: *moźb, bledz, strzedz* itp. (opartych na formach: *może, biegać, strzeż*) wprowadzono zgodnie z wymową zakończenia pisowni: *móc, biec, strzec* itd.

Na tym tle nie tylko zupełnie zrozumiałe, ale nawet celowe wydaje się rozszerzenie fonetycznego charakteru pisowni bezokolicznika przez zastąpienie liter *z* i *ł* literą *ś* w takich formach, jak: *grzyć, grząść, leść, wieść*. Formy te nastroczały wiele trudności, ich poprawna pisownia wymaga uciekania się do związków morfologicznych (grzyć — *ć*, bo: grzyć — *ć*, wieść — *ć*, bo: wioz — *ć* itd.). O wiele prostsze, a przedstawionymi ogniwami procesu fonetycznej usprawiedliwiona, byłaby pisownia: *grysć, grząść, leść, wieść*. Prof. Nitsch (Język Polski XVIII, s. 20) pisownię: *grysć* itp. określił jako najzupełniej możliwą.

Przedstawione objawy ograniczenia morfologicznej zasady pisowni natrafiają jednak na pewną zaporę. Nie sięgają one w obieg takich form, jak np.: *grubszy, młodszy, lawka, bluzka, staw, straż*. Dopuszczenie pisowni: *blec, strzyce, niski, ślaski* można byłoby uznać za znaczny osłabienie poczucia związku słowotwórczego tych wyrazów z wyrazami pokrewnymi, w których występują odpowiednie spółgłoski dzwięczne. Natomiast w stosunku do wyrazów: *grubszy, lawka* itd. jest jeszcze bardzo silne poczucie ich więzi z wyrazami podstawowymi: *gruby, lawa* itd. Te same względy przemawiają też za konsekwentnym utrzymywaniem pisowni wyrazów z tzw. „wymienności” *ó* i *z*, mianowicie pisze się *nóż* (bo: noże), *lekarz* (bo: lekarka) itd. I o ile nawet przeciw tym niefonetycznym *ó* i *z* odzywały się nieraz głosy sprzeciwu ze strony przedstawicieli społeczeństwa, to opinie teoretyków ortografii na ten temat miały raczej charakter zachowawczy. Decyduje tu bowiem wzgląd na normalizujący pisownię i ułatwiający pewność nawyków orto-

graficznych wpływ stałości obrazu graficznego tematu w paradygmacie fleksyjnym czy rdzenia w rodzinie słowotwórczej. Ten wzgląd też zapewne sprawia, że np. i w ortografii rosyjskiej nie oznacza się tzw. „akania”, lecz stosuje się w całym paradygmacie wyrazu literę *o*, niezależnie od pojawiania się w wymowie głoski *a*, jak również nie oznacza się tam w pisowni przejścia w i, jakiemu ulega w wymowie nie akcentowane *e*.

4. ZACIESNIONE POZYCJE TRADYCJI

Bardziej podatna do ustępstw na korzyść zasady fonetycznej jest pisownia czysto tradycyjna, nie mająca oparcia w powiązaniach morfologicznych. Rezultatem tego rodzaju ustępstw jest np. dzisiejsza pisownia wyrazów: *ślusarz, buty, nuta, drut, jaszczurka, jalmużna, marmur, luźny, oburzyć, zanurzyć, kłuć, pruć, chrust, brudza, dłuć, dłuwać, żuraw, skuwka, Jakub, plu-kać* (wyrazy te dawniej, w znacznej części do r. 1936, były pisane przez *ó*), wyrazy: *mżonka, pasaż* (pisane do r. 1936 przez *rz*) oraz wyrazy: *puchar, puchacz* (pisane do r. 1936 przez samo *h*). Na pytanie, dlaczego właśnie te wyrazy zmieniono, można by odpowiedzieć, że w stosunku do wyrazów: *puchar, puchacz, pasaż, mżonka* kierowano się względem na etymologię; w stosunku do wyrazu *Jakub* oparto się na istnieniu już przedtem liter *y* w pisowni wyrazów: *Kuba, Kubuś, Jakubowski*; na ufonetycznienie pisowni innych wymienionych wyrazów pozwoliło ich słownikowo rzadkie użycie i tym samym mniejsze utrwalenie w świadomości piszących ich obrazu graficznego. Zatrzymano się zaś przed takimi wyrazami, jak: *góra, mózg, Józef, król* itd. W obrazie graficznym tych wyrazów, jako części używanych, litera *ó* jest bardziej oczywista. Czyli po prostu zdecydował tu wzgląd nie jakościowy, lecz ilościowy. Drugim czynnikiem również o charakterze ilościowym, było przeświadczenie, że można zmienić pisownię pewnej ilości wyrazów, co wejdzie w nowy zwyczaj łagodniej i bardziej niewidocznie, bez takiego wstrząsu i zaburzenia, jakie wywołałaby zmiana pisowni całego zasobu wyrazów z *ó* czy *z* niewymiennym oraz z *h*.

Przeciw wycofywaniu z polskiej pisowni *ó, z* i oboczności *h/h* przemawiały też inne argumenty, mianowicie związki z innymi narodami, czy to wspólnej z nimi kultury i tego samego w zasadzie alfabetu, czy też wspólnego, słowiańskiego języka. Prof. Nitsch (Język Polski XVIII, s. 37) stwierdził, że: zachowanie ich sprzyja utrzymaniu kontaktu z narodami romańskimi i germańskimi („pisownia: *haos, mechanika*... niewątpliwie utrudniałaby choćby wzajemne szukanie po słownikach”), natomiast „kto pragnie zaciesnienia związków słowiańskich, ten nie będzie chętnie patrzył na pomysły pozbycia się nie tylko *ó*, ale nawet łatwego do usunięcia *z*”.

We względzie na żywe związki z językami świątymi widzi też prof. Nitsch źródło zdecydowania się na pisownię: *anemia, kwestionariusz* („Pisownia polska”, s. 6) oraz na utrzymanie grupy liter *ge* w szeregu wyrazów z dziedziny kultury, które się w całym świecie pisze przez *g* (tamże, s. 14).

Stanisław Jodłowski
(Dalszy ciąg w następnym numerze)

JERZY BROSKIEWICZ

W sprawie «Wyroku»

— Czy oskarżony przyznaje się do winy? — Nigdy!

Nie wiem, jak oskarżony wygląda. Nie wiem, czy szyby pokoju, w którym trwa rozprawa, odbijają słońce, czy sączy się po nich deszcz. Każde skojarzenie może być trafne lub chybotliwe. Postacie nie mają twarzy, rysów, barw. Rzecz dzieje się na kółkach tragedii i w maskach wysokich imponderabilii moralnych. Wysokich? Chyba najwyższych — jeśli pada słowo sprawiedliwość i jeśli dramat dochodzenia do jej rzeczywistej postaci jest główną racją rozprawy. Autor, świadek dramatu, przymknął oczy — uznał, że sprawa wymaga takiego skupienia, jakiego nie może mieć żaden inny zmysł ponad „zmysł sprawiedliwości”. On, i tylko on ma rozstrzygnąć o wyroku.

Pierwsze słowo oskarżonego brzmi: — „Nigdy!”

Proszę ocenić wagę tego słowa. Przecież już w nim brzmi protest wołający o pomstę do historii. Ileż w nim patosu! Jakie poczucie siły moralnej! Pociągą za sobą pytania retoryczne — pytania rozżarzone, pasję i patos człowieka krzyczącego o sprawiedliwość dla niewinnego bohatera dramatu, dla oskarżonego właśnie.

Nie widzę jego twarzy ani oczu sędziów. Nie wiem, które zdanie oskarżony mówi, a które myśli. Monolog jest gorączkowy, zdyszany — ale... nagle szlachetny patos zaczyna się szybko gubić, retoryka płatać swój wysoki lot. Po raz pierwszy słyszę słowa oskarżonego: „...muszę wątpić także o mojej uczciwości”.

Tak — jeszcze jest owo „także”. Ale gdzie się podziało tamto „nigdy”? Zblakło, zbladło, stało się dalekie, mało ważne — wygląda na to, że sam oskarżony o nim nagłe zapomniał. Zaczyna być nie tylko śmieśnaw, lecz i podejrzany. Powiedziałbym — politycznie podejrzany.

*

Bohaterowi „Wyroku” Jerzego Stadnickiego nie można odmówić wielu zalet. Przemawia w sposób chwilałami porywający. Słychać, jak jego głos drży, łamie się w pasji. Walczy on przecież nie o siebie — o s p r a w i e d l i w o ść w o g ół e. Nie ma przecież w jego pojęciu dwóch ani trzech, ani ośmiu sprawiedliwości. Jest jedna. Ponadczasowa. Ludzka. Ponad historią, czasem i ponad klasami. On — oskarżony — jest przede wszystkim j e j romantycznym i bezinteresownym obrońcą.

Ów obrońca jest dobrym, nawet świetnym mówcą. Czuje się jego kulturę, inteligencję, bystrość — wszystko w skali wysokich osobliwych zalet. A pasja moralna sięga tak daleko, że on, ziemianin, szlachcic z działa pradziada, wszystko rozumie, wszystko wie: pojmuje tok rewolucji, w imię własnych imponderabilii każe spłacać dług za pańszczyznę własnej klasie — jest na tyle obiektywny, że cud z 1863 roku, „z polską szlachcią polski lud”, chce skorygować akcesem polskiego szlachcica do rewolucji polskiego ludu z roku 1945.

Nie znam jego imienia ani nazwiska. Musi być „dobre” — może nawet „światne”. Przewód sądowy pomija je. Nic dziwnego — ostatecznie przewód prowadzi sam oskarżony. On wygłasza mowę obrończą — on jeden w tej sali mówi, myśli i czuje — on wreszcie... staje się własnym prokuratorem, głównym i jedynym oskarżycielem.

Jakże to się stało? W którym momencie dokonuje się ta ekwilibrystyka, moralna akrobatyka partezowa? Gdzie zgubił się głos Kordiana, skłóconego ze światem i z czasem romantycznego bohatera? Gdzie jest owo: „Nigdy”? I kto w końcu ogłasza rzeczywisty wyrok? Przecież znowu on! Słuchajcie, słuchajcie!

„Dobrze mi tak! Chciałem urządzić się wygodnie w Rewolucji. Pomnożyć zastępy śpiących rycerzy. Umocnić armię zbawienia. Tulić do łona owce i wilkołaki. Mieć dla każdego coś miłego.

Za łatwy byłby okres rekrucki. Za rzewna pieśń Rewolucji. Za liryczne pożegnanie z wyżyskiem. Za dużo powiazań z ciemieczkami. Zbyt wielu przyjaciół wśród wrogów”.

Oto wyrok ostateczny i rzeczywisty. Oto przyznanie się do winy. Czytałem „Wyrok” z gorącą od pierwszych zdań uwagą. Od pierwszych zdań porwał mnie bystry tok pisarskiej pracy, celność portretów psychologicznych, siła kreski, waga waloru całego epickiego ła — potem dramaturgia procesu... dramaturgia sprawy.

Sledząc przebieg przewodu sądowego dałem się wprawie wciągnąć wielu argumentom obrońcy — potem wielu racjom oskarżyciela. Dałem się wciągnąć bezspornym i bogatym cechem talentu autora. Na stole komisji sędziowskiej zśleszczył papier, ale metamorfozy bohatera sprawy niosły w sobie prawdy i kłamstwa, popioły i ognie, fikcje i fakty żywych dni. One dały wagę literatury całej „kryształowej hipokryzji” obrończej mowy oskarżonego — one to mimo skali i naciągających pointy do tezy uratowały sens zakończenia. Oskarżony mimo woli — właśnie mimo woli — od początku demaskował swą klasową „nie-winność” patrioty per fas et nefas. Znakomite chłopięce drzwi przed powracającym „paniczem” — nieważkie Ernestowej do tych nawał, „chamów”, którzy wraz z nią czekają na białego konia — portret lokaja łącznie z pańską pogardą dla lokalnych dusz samego „czerwonego szlachcica”...

Ołóż to!

Stadnicki komponuje „Wyrok” z wyraźną tezą. Dla rozwiązania sprawy dokonuje ekwilibrystycznych sztuczek — wyskakują jak mariole, i wywiad, i PSL, i Mikołajczyk! Dokonuje też u n i k ó w — oskarżonego skazuje reakcja, na czterech sędziów jest aż trzech łotrów, jeden demoniczny i dwa kundla. Jedyny, który reprezentuje tu sprawiedliwość ludową, potrafi co najwyżej założyć votum separatum.

Wecale się też nie dziwić, że „Wyrok” mógł wielu czytelników doprowadzić do pasji. Zawiniła tu właśnie cała ekwilibrystyka fabuły procesu, słabość oskarżenia wobec siły obrony, unik przed rozstrzygnięciem sprawiedliwych sędziów, których głosu tu zabrakło — wreszcie dość wyraźna sztuczność konkretnych powodów ostatecznego wyroku. W efekcie zabrakło autorowi pełni sił na odbicie owego „Nigdy” — na pełne zdemaskowanie śpiącego rycerza bez zżyny i skazy, siedzącego okrakiem na barykadzie, skrzywdzonego Kordiana i jego „sprawiedliwości w ogóle”. Skąd protest wielu czytelników — nawet gniew.

Ale nie mogę się zgodzić z oskarżeniem samego opowiadania o hipokryzję i przewrotność. Odczytuję brak właściwych proporcji między obroną a oskarżeniem — ale uznaję moralny sens cytowanego tu już wyroku za „przyciągający wśród wrogów”. To ostateczne przyznanie się do winy nie jest jeszcze ani trochę wynikiem... rewolucyjnej ostrości widzenia świata — to bardziej niż pewne! Ale jest już w końcowym rozrachunku wyrazem dobrej woli politycznej, dobrej woli poznawczej. Chcę jej rozwojowi ufać — jak chcę wierzyć w rozwój talentu autora.

Dłatego przypominam raz jeszcze o tym, co się ujawnia w epickim tle całej sprawy o „Wyrok”. W owym tle rozgrywa się rzeczywisty proces — faktem zostaje oddana klasowa czyli historyczna właśnie sprawiedliwość Stadnicki widzi ją lepiej niż bohater opowiadania — od „zamkniętych drzwi” po plany Ernestowej wzięcia nawet chłama solusznika „za mordę”. I jeśli proces bohatera „Wyroku” ma jeszcze mnóstwo wad wykonawczych literackich, to owo tło — żywy proces historyczny — daje opowiadaniu oddech dobrej literatury i rangę bardzo ciekawego talentu pisarskiego.

Jerzy Broszkiewicz

Lesław Bartelski
Wilhelm Mach

Jerzy Stadnicki: W y r o k — „Nowa Kultura” Nr 13 z 27.III.1955 r.

Ziemia Świerczewskiego

(Dokończenie ze str. 1)

zobowiązała! Nas — i wszystkich naszych nieobecnych kolegów: pamiętajmy, że nasze słowa pisane wędrują w szeroki kraj; nim je wyprawimy w drogę, sprawdźmy, co niosą. — I już wtedy, profesorko, byliśmy obaj pewni, że najlepszą częścią swego zapasu i twej wiedzy odnajdziemy u twórcy uczniów, do których nas na dyskusję zaprosiłaś.

Jeszcze nam do spania nie było pilno. Po kamienistej drodze, opasanej śródmieście, hycząc wywabione młodą wiosną zabry. Jest ten wieczór miejski i polny zarazem, górski i rzeczny, opłotkowy i krzewiasty — gasną już okna, i staje się tak, że milknie rozmowa, że chciałoby się wstrzymać dech i słuchać jak w ogródkach rośnie trawa. Okrężny spacer przywiodł nas do Domu Kultury. Czytelnia już pusta, lecz nieostygła z chętnie — co poznać po zarzuconych drukami stolach — obecności bywalców. Znajdujemy tu, z niemalą satysfakcją, wszystkie gazety i czasopisma, akurat na tyle przytłumione, by się można cieszyć ich wziętością; nie brak periodyków zagranicznych. Wnętrze urządzone naprawdę gustownie, dekoracja ścian zastanawia wytrawnością plastyczną; pytamy dyżurnych: — wszystko to dzieło miejscowego artysty-samouka Barana, chłopca po maturze, lecz niestety wciąż jeszcze przed ASP, do której się nie może dostać. A powinien! Kto nie wierzy, kto ciękaw, a przede wszystkim: kto by mógł i chciał pomóc — niech zobaczy. — W salce dyżurnej wre robota, młodzi splatają barwne girlandy i montują iluminację na jutrzejszy przedświąteczny wieczór.

Trafiamy akurat na moment dumy i uciechy — właśnie przyszła z Rzeszowa wiadomość, że chóralny zespół leśkiego Domu Kultury występował sobie w wojewódzkich eliminacjach drugą nagrodę. Wystąpi tu jutro, na uroczystej miejskiej akademii 1-Majowej ze swym zwycięskim programem. Właśnie telefon do dyżurnej — i słyszymy jej na poly rozbawione, na poly frasowane odpowiedzi: Kasia? Co! nie da się jakoś zalać? Straszne! Nie, nie mam drugiej czarnej spódnicy. No, przecie ja też występuję. Dobrze, zapytam. (Do koleżanek przy girlandach: — Wanda, Irka — ma z was która druga czarna spódnica? — Niestety, wszystkie mają po jednej. Biedna Kasia! Ucziesza nagrodą zespołu, zeszkolona z podium nazbyt energicznie. Czy jutrzejszy występ nie zubożeje o jeden sopran? — Dobranoc, dziewczęta, dobranoc, chłopcy! Coś nam się wydaje, że się tu dziś siedzicie do późna — dużo chcecie upeścić wieńców, dużo lampek nazić na uformowany z drutu kontur Oria. Spracowane, szorstkie wasze ręce, skromne odzienie, pewnie wam w życiu nie najodstatniej — lecz i to widać, że umiecie wierzyć i znacie się na młodoci.

Spotkanie z młodzieżą szkolną odbyło się nazajutrz w tej właśnie, wystrojonej przez Barana, sali czytelnianej. Poprzedziła je nasza wizyta w „Domu Książki” i w miejscowej bibliotece. Dobrześmy zrobili! Wywiady ze sprzedawczyńkami książek i z bibliotekarkami pozwoliły nam utwierdzić się w domysłach, powziętych po wczorajszej rozmowie z polonistką. Życie szkolne naprawdę imponujące wart-

kie! Głód książek. Poczynność, która cieszą się nie tylko zasłużeni klasycy. Również współcześni. Czasem nawet wbrew biegłemu sarkazmowi i anatemom krytyków. Książka toruje sobie drogę poprzez zgodność nie tyle z kanonami teorii, co z żywą ludzką potrzebą. Nie, to nie znaczy, jakoby krytyka literacka nie zdobyła sobie respektu. Jest uważnie sledzona. Biblioteka prenumeruje pisma — są w ciągłym obiegu. Docierają tu z opóźnieniem — uwaga! (po raz który?) kolportaż! Najwdzięczniejszymi czytelnikami — młodzieżą. Popyt na recenzje — więcej recenzji, bodaj krótkich! Czego brak książkom współczesnym? Dramatu uczuć. Niech będzie w nich o cierpieniu, któremu się wierzy, o miłości szczęśliwej i nieszczęśliwej, i jak to bywa, że komuś się życie uda, a komuś nie. I żeby więcej o ludziach z „dalekiej Polski”, o takich też, co tu. — Jakaś sympatia dla autora, który przełamie krąg „centralnych środowisk”? „Opowieści leśkie” Odojewskiego czytają tu na wypródkę wszyscy — zrozumiałe! I Odojewski powinienby swoich leśkich czytelników odwdziżyć.

Nie tylko Odojewski! Młodzież licealna zaspalała nas pytaniami o współczesnych pisarzy. Cóż to za wdzięczni czytelnicy. Doprawdy — pod tchnieniem ich zagorzałej książkowej gasy partokulinarne, hermetyczne „branzowe” zacietrzewienia, obolałości, strasznie „ważne” małe sprawy, afery i perypetie — każdy autor, skoro tu stanie, czy w oczy z tą pełną entuzjazmu i wielokodźności społecznością, inaczej spojrzysz na swoją pracę, na jej sens, na jej przywileje i obowiąz-

ki. Przemówiło dwudziestu siedmiu młodych. Dali wyraz swym zainteresowaniom w pełnej skali współczesnych zagadnień w życiu i w sztuce — od dyskusji na temat wydobycia wraków (to a propos Meissnera), poprzez ciekawość dla różnych spraw aktualnych u nas i w innych krajach, poprzez rozważenie ideologiczno - formalnej jednoci czy też niejedności dzieł literackich (tu pomściła się wnikliwa analiza „Obywateli” K. Brandysa), aż po subtelne problemy psychologii twórczości, „warsztatu” itp. — Nie, kolego Jerzy Świąć, niepotrzebnie się strapił, czy wypada pytać autorów o rzeczy aż tak intymne, jak powiązanie między życiem pisarza, zakresem jego myśli i uczuć, a prawdą stworzonych przezeń postaci; to pytanie, wciąż żywe, rozstrzygać muszą pisarze we własnym sumieniu, i macie prawo poznać wynik rozrachunku. Wasza ciekawość jest i słuszna, i dla pisarzy zaszczytna.

Tak. Był to szeroki, ożywczy oddech dla zapalonych nasza warszawsko - redakcyjną powszedniością płuc — ta rozmowa z jutrem Polski.

Złożyło się tak, żeśmy nie byli na uroczystej wieczornej akademii. Lesko — śliczne, serdeczne miasto — zasłużyło sobie na pełną prawdomówność we wszystkim, co tu o nim piszemy. Toteż, rezygnując z optymistycznej pointy, wolmy się przyznać, że nie wiemy, żeśmy się nie dowiedzieli, czy koleżanka Kasia zdążyła się wystarać o potrzebny jej na występ, wieczorową spódnicę.

SZOŁOCHOW

ALEKSANDER SERAFIMOWICZ
CICHY DONMICHAŁ SZKERIN
Ulubiony pisarz

Korespondencja własna z Moskwy

„Z Szolochowem — mówił w jednym ze swych artykułów Serafimowicz — wiąże mnie ponad dwudziestoletnia znajomość i przyjaźń. Zwróciłem uwagę na jego orli talent wówczas, kiedy byłem jeszcze redaktorem pisma „Oktiabr” i zacząłem drukować w nim „Cichy Don”, do którego napisałem również przedmowę. Później spotykaliśmy się często i każde z tych spotkań pozostawiało mi w duszy serdeczność i radość. Gościłem także u niego w stancyi Wieszńskiej — jesteśmy wszak prawie sąsiadami znad Donu: ja — z Ust-Miedwedicy, on — z Wieszńskiej”.

Artkuł ukazujący sylwetkę Szolochowa jako pisarza i człowieka publikowany jest w dziełach Serafimowicza w tej postaci, w jakiej go przedrukowujemy. W rzeczywistości składa się on z dwóch artykułów odrębnych i ogłoszonych przez Serafimowicza w różnych okresach. Pierwszy artykuł — „Cichy Don” — publikowany był pierwotnie w „Prawdzie”, 19.IV.1928, później zaś przedrukowany jako przedmowa do „Cichego Donu”, który ukazał się w 1928 roku w 12 zeszytach miesięcznika „Roman-Gazeta”. Szkic biograficzny pt. „Michał Szolochow” drukowany był w piśmie „Literaturnaja Gazieta” 26.XI.1937. W tekście poczyniliśmy nieznaczne skróty.

Literatura proletariacka pomnoży się i wzbogaci.

* * *

Bezkresna przestrzeń stepu omlewa i tonie w upalnym tumanie. Ze zbocza na zbocze rozścieliły się szeroko piołuny, parowy czerwienią gliną. W dół stepowych rzeczek, w parowach rozłożyły się chutury. Dopiero za Donem, który łęł pośrodku piasków, w pobliżu wzgórz nadbrzeżnych widnieją lasy i jeziora zarośnięte szuwarami oraz turzycą, a obfitujące rybami. Don od źródeł aż do samego ujścia obsiadły po obu brzegach kozackie stancie.

Stancie Wieszńską piaski przycisnęły aż do Donu — przytuliła się do samej rzeki.

Jeszcze przed wojną i rewolucją, urodził się w roku 1905 w chuto-

Bawił się z rówieśnikami - kozaczętami na zakurzonych i porośniętych chwastami ulicach. Jako podrostek spacerował z młodymi kozakami i dziewczętami po szerokiej ulicy, a pieśń szła z nimi a ponad nimi księżyc — i śmiech, czysty dziewczęcy, pokrzykiwania, głośne rozmowy, nieśmiertelna, młoda, pogodna wesołość.

Kozacy to naród wesoły, żywy, dobroduszo - żartobliwy. Kiedy się zejdą w gromadkę, podnosi się wrzawa głosów, gwizdanie, wybuchają śmiechy, potrafią się wyśmiewać wzajemnie i kpić jeden z drugiego. Pieśni śpiewają prze cudne, tęskne, stepowe, od których i smutno i błogo na duszy się robi. Niosą się one z krańca w kraniec i niesposób je później zapomnieć.

Michał wchłaniał w siebie jak mleko matki ten kozacki język — oryginalny, dosadny, barwny, obra-

Drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do pokoju. Odwróciłem się usłyszawszy kroki i zobaczyłem mężczyznę z wąsami koloru pszenicy, o wysokim, jasnym czole, nad którym wiała się niebył gęsta, przyprószone siwizną blond czupryna. Wzrostu był nieco niższego niż średni, ubrany w bluzę kroju wojskowego koloru khaki, przepasaną wąskim rzemieniem, w ciemno-granatowe bryczesy i buty z cholewami. Było to wkrótce po zakończeniu wojny, i pomyślałszy sobie: pewnie jakiś zdemobilizowany oficer — odwróciłem się znowu do mego rozmówcy.

Mężczyzna z jasnymi wąsami uklonił się nam milcząco i usiadł w fotelu przy stole. Wywnioskowałem z tego, że mój rozmówca, współpra-

datego, że go nie poznałem, chociaż widziałem setki jego fotografii.

Dopiero później uświadomiłem sobie, dlaczego od razu go nie poznałem. Wyobrażałem sobie tego wielkiego pisarza jako człowieka surowego, nieprzystępnego i — choć odrobinę — afektowanego. No i oczywiście ubranego elegancko, wedle ostatniej mody. Czyż mogłem więc, mając tak banalne pojęcie o wielkim pisarzu, rozpoznać go w prostym, skromnym, niesmiałym człowieku? W następnych latach widywałem go często. Bywałem u niego w stancyi Wieszńskiej nad Donem i w jego moskiewskim mieszkaniu, i nigdy nie przestawał mnie zdumiewać jego charakter.

Od przeszło ćwierć wieku miliony ludzi zaczęli się jego książkami, które się ukazały w 418 wydaniach (przeszło 20 milionów egzemplarzy) w Związku Radzieckim i w dziesiątkach wydań w innych krajach. W trzydziestym czwartym roku życia był już członkiem Akademii i posłem do Rady Najwyższej ZSRR. W roku 1941 otrzymał Nagrodę Stalinowską pierwszego stopnia. Szolochow odznaczony jest również Orderem Lenina i Orderem Wojny w Obronie Ojczyzny. Nie ma chyba w Związku Radzieckim człowieka, który nie czytałby powieści Szolochowa i nie zachwycał się nimi. Szolochowowi nie przewróciło się od tego w głowie: pozostał sobą: prostym, przystępnym, skromnym a nawet niesmiałym człowiekiem.

Dobra doczesne są mu obojętne, gardzi zbytkiem, nienawidzi pychy. O jego obojętnym stosunku do pieniędzy można sądzić z takiego choćby faktu. Przez cały czas wojny był korespondentem wojennym „Prawdy” i „Krasnej Zwiezdy” w stopniu pułkownika i przez cały ten czas nie zainteresował się nawet, czy należą mu się z tego tytułu jakieś pobory. Zebrała się duża suma i kiedy go o tym powiadomiono, Szolochow bardzo się zdziwił:

— Pobory? Naprawdę? No, więc zapiszcie je na Fundusz Obrony.

Szolochow nie lubi pompy i uroczystego nastroju. Bardzo niechętnie bierze udział w liczniejszych zebraniach, kępuje go zainteresowanie, jakie wzbudza jego osoba. Nie rusza się prawie ze stancyi Wieszńskiej, odległej o 160 kilometrów od stacji kolejowej. Przebywa tam wśród żywych bohaterów swoich książek.

Życiorys Michała Szolochowa jest charakterystyczny dla większości pisarzy radzieckich. Pochodzi z ludu pracującego. Matka jego była wyrobnicą wiejską, ojciec drobnym pracownikiem handlowym. Młodość Michała Szolochowa przypadła na lata rewolucji i wojny domowej w Rosji. Mając szesnaście lat wstąpił na ochotnika do Armii Czerwonej i jako szeregowiec brał udział w ostatnich walkach, w których rozbito białogwardyjskie bandy kozaków dońskich.

W roku 1923 Szolochow przyjechał do Moskwy, gdzie przez jakiś czas pracował jako tragarz i murarz. W owym czasie zaczął pisać. W roku 1925 ukazał się pierwszy zbiór jego utworów pt. „Opowiadania znad Donu”, opatrzone wstępem Aleksandra Serafimowicza. Stary pisarz pierwszy odkrył w Szolochowie nieprzeciętny talent, znajomość życia i żywą obrazowość stylu.

Powodzenie tych młodzieńczych utworów zadecydowało ostatecznie o dalszych losach Michała Szolochowa — w dwudziestym roku życia poświęcił się już zawodowo literaturze.

(Dokończenie na str. 5)



Szolochow u siebie w stancyi Wieszńskiej

Fot. W. Turbina

skrzy kozacka mowa. Jak bardzo śmiertelnie martwi wydają się nasi salonowi nudni słowotwórcy — niech im ziemia lekka będzie.

Sceny, które byłyby ryzykowne u innych pisarzy, u Szolochowa są prawdziwie i wiarygodne. Rzeczy nazywa on po imieniu, opowiadanie jednak toczy się bardzo dyskretnie. Młody pisarz przedstawia sobą wielką siłę i zdrowie moralne. Na olbrzymiej przestrzeni czterdziestu arkuszy ukazuje autor byt kozaków, służbę w wojsku, wojnę, rewolucję.

W żadnym miejscu, nigdzie nie powiedział Szolochow: klasa, wal-ka klasowa. Ale tak jak u świetnych pisarzy niepostrzeżenie poprzez samą tkaninę opowieści, w zarysowaniu postaci, w biegu zdarzeń, w miarę tego jak się rozwija wspaniała epika, to klasowe zróżnicowanie staje się coraz wyraźniejsze, coraz bardziej uchwytne.

Tak, z jajka maleńkich, niezłych „budzących nadzieję” opowiadań wykuli się pisarz oryginalny, do nikogo nie podobny, o własnym indywidualnym wyrazie, kryjący w sobie olbrzymie możliwości.

Mimo wszystko czyha nań uporczywie niebezpieczeństwo, że siła jego talentu może się nie rozwinąć w pełni.

Szolochow z mlekiem matki wessał ojczysty lazurowy step, ojczystą mowę dońską; na zawsze zachował w pamięci widziane od dzieciństwa najbliższe mu twarze kozaków, najlżejsze drgnięcia ich umysłów i serc i w sposób cudowny to wszystko przemówiło z kart powieści. Ale co dalej? Don się wyczerpie. Wyczerpie się chłopstwo stanowiące specyficzną warstwę o wojskowym charakterze. I jeżeli młody pisarz nie skieruje się ku masom proletariatu, jeżeli nie potrafi w sposób równie zadziwiający wchłoniąć w siebie obrazu klasy robotniczej, jej życia, jej woli, jej walki — jeśli nie potrafi tego dokonać, sam sobie uczyni tym krzywdę, pisarz który się oto narodził. Jeśli nie potrafi wchłoniąć w siebie wielkiej nauki komunizmu, przeniknąć nią na wskroś — nie da obrazów, jakie mógłby dać.

Ale Szolochow jest młody i pełen sił. Jest zdrowy duchem. Ma bystre oko, przed którym się nie nie skryje. Odnoszę wielkie wrażenie, że młody pisarz rozwinie wszystkie tkwiące w nim samymi siły.

rze Krużyłina stancyi Wieszńskiej u wdowy po kozaku syn Michał. Mąż jej Szolochow (żyli oni nieślubnie) był, jak ich nazywano wówczas, „odmieńcem” („inogorodnij”), tzn. przybyłszy z Rosji centralnej, z guberni Riazkańskiej. Doświadczał wszystkich ciężarów, jakie „odmieńcy” znosili wówczas wśród kozactwa.

Mały Misza oddychał od urodzenia cudownym powietrzem stepowym, paliło go żarem słońce, wiatry-suchowiję gnały tumany kurzu i spekały mu usta. I cichy Don, na którym czerniały bajadki łowiących ryby kozaków, zapadał mu na zawsze i głęboko w serce. Sianokosy na nadbrzeżnych łąkach spod załewów, uciążliwe roboty w stepie — orka, siewy, zbiory pszenicy — wszystko to formowało powoli każdy rys chłopaka, potem podrostka, wszystko to tworzyło zeń młodego pracowitego kozaka, ruchliwego, wesołego, skorego do żartów i dobrej wesołej zabawy. Nadawało mu także wyraz zewnętrzny: barczysty, krępej budowy kozaczek o czerstwej, brązowej twarzy, spalonej słońcem i wiatrami.

(Dokończenie na str. 5)

ownik jednej z gazet moskiewskich, jest jego dobrym znajomym, i nie kępując się kontynuowałem przerwana rozmowę. Mówiliśmy jeszcze kilka minut i przez cały ten czas gospodarz rzucał niespokojne spojrzenia na gościa, jakby go przepraszając za tę przedłużającą się rozmowę. Wstałem, żeby się pożegnać. Wtedy podniósł się również mężczyzna z jasnymi wąsami i zwracając się do dziennikarza powiedział:

— Czemu nie zaznajamiasz mnie z krytykiem?

Odwróciłem się i uważnie przyjrzałem się nieznajomemu. Gdzież ja go widziałem? I to na pewno widziałem go nie jeden raz... Tymczasem nieznajomy wyciągnął do mnie rękę, mówiąc:

— Szolochow.

Ucieszyłem się, a jednocześnie było mi wstyd. Ucieszyłem się, bo przede mną stał wybitny pisarz radziecki, czarodziej rosyjskiej mowy, a jednocześnie człowiek zadziwiająco prosty, uśmiechający się pod jasnymi wąsami. A wstyd było mi

TADEUSZ FLOREK

NAD „PANEM TADEUSZEM”

Od chwili tej minęło lat sto i dwadzieścia,
Runęły trony pyszne, zgasło banków złoto,
A w sadach soplicowskich ten sam wiatr szeleści
I furtka, pchnięta wtedy, kołysze się dotąd.

Słońce wstrzymane w biegu wciąż nad borem płonie
Ogromne i czerwone jak sztandar z płomienia,
Miedziane od poblasków rzą u studni konie,
Pochód owiec stłoczony stanął i skamieniał.

I inna się odnawia godzina sprzed wieku,
Owa chwila przed burzą ponura i cicha,
A po burzach wyraźnie uchem pieśni słyhać
Tamte deszcze szemrzące i drzewa dalekie.

I dziwne: głos poety nie słabnie, lecz wzrasta
Grającą knieją wokół. I my urzeczeni,
Stojąc na rusztowaniach ludowego miasta,
Chłoniemy z pieśni siłę: głos rodzinnej ziemi.

WPLYWY LITERATURY NA DAWNĄ

Pierwsze wierszyki, które obie dziewczynki Lilka i Madzia umiały na pamięć, po groźnych bajkach ze „Złotej Różdżki”, były bajki Jachowicza, który jakoś dziwnie sadystycznie podchodził do swoich małych czytelników. Przede wszystkim zawsze trzymał z rodzicami przeciw dzieciom radząc im, aby w razie potrzeby nie unikali różeczek: Ileż razy Madzia słyszała z ust swojej matki czterowiersz Jachowicza:

Różeczka dziateczki Duch święty bić radzi —
Różeczka nigdy zdrowiu nie zawadzi —

Tymczasem było przeciwnie: dużo historyków i zbrodniarzy wyrosło na tej metodzie tak zalecaniej przez ówczesnego dziecięcego pisarza. Bo trzeba wiedzieć, że „branie w skórę” odbywało się z całym sadystycznym ceremoniałem. — Proszę natychmiast zdjąć majtki i położyć się na kanapie! — mówił ojciec lub matka, podobnie jak lekarz do pacjenta, stojąc nad dzieckiem z wierzbową różgą. — Po „zabiegach” wstrętni kaci radzili dziecku obolałe miejsca na pupie smarować wazeliną albo przykładając na nie kompresy z zimnej wody. Jedne dzieci podczas tej operacji rzycały jakby je kto zarzywał, co było zupełnie naturalne, ale były i takie, które wołały: „Jeszcze, jeszcze, tylko silniej!”.

Madzia miała inny system, już po pierwszym uderzeniu mówiła chichoczącym złośliwym głosem: „Żeby mamusię tylko rączka nie rozboleła!”, co na srogą rodzicielkę działało rozbijając i momentalnie zaprzestawała dalszych katuszy. Jachowicz poza umoralniającymi bajkami miał i wierszyki zupełnie dla dzieci niezrozumiałe, które zupełnie nie wiadomo jaki zawierały sens i moral. Na przykład:

„Masz tu jabłko Franusiu — rzekł przyjaciel domu
Tylko schowaj głęboko i nie mów nikomu —”

Na to Franuś mały sknerka
Schował jabłko do kuferka —

Pisywał również wierszyki antydemokratyczne, jak ten o pewnym małym grymasniku, który brzmiał następująco:

„To złe, to niedobre to mnle kluje w zęby
Tego nie weźmę do gęby
Zie jedzenie, niedobre suknie!”
Na to ojciec syna odrzekł:
„Jeśli ci wszystko wadzi
To pójdziesz na żur do czeladzi!”

Pójście na żur do czeladzi było więc najgorszą z kar (po wskóbraniu), jaką wyobrażał sobie Jachowicz dla małych grymasników. Jednym słowem, literatura dziecięca w Polsce zawsze szwankowała i gdyby nie wiersze Marii Konopnickiej, dziewczynki nie miałyby co deklamować, gdy trzeba było się przed gośćmi popisać. Umiało się więc na pamięć cały wiersz „Kiedy poszedł król na wojnę”. Deklamowało się również z przejęciem Mickiewicza „Powrót taty” obliżując się wewnętrznie na „rodzynki w koszyku”. Gdy dziewczynki były większe, dostały na gwiazdkę „Polskiego Bajarza” Głinskiego, gdzie były straszne opisy mszy w Rydzynie, podczas której ministrantami były kościotrupy a przy konfesonale stały białe damy. Pełne okrucieństwa bajki Grimma były też ich codzienną lekturą. Kiedyś otrzymali od jakiejś ciotki przeliczną książkę Lucjana Rydla „O Kasi i Królewiczu”. Nie można sobie wyobrazić czegoś bardziej nie dla dzieci jak ta książeczka, i pierwsze marzenia o miłości były stanowczo jej zasługą. — „Nie żałuj mnie, nie żałuj — ale całuj mnie, całuj...” prosiła Kasia złotowłosego królewicza. — „Czy to od niespania masz tak niebieskie oczy do kochania?” — Te słowa nieraz powtarzała Madzia, później, kuzynkom-adoratorom: „Nie żałuj mnie, nie żałuj — ale całuj mnie, całuj królewiczu mojemu...”. Takich słów nie zapomina się do końca życia! Bajki Andersena były najstosowniejszą lekturą dla młodego wieku i były też przez dzieci najbardziej lubiane. Były pełne wdzięku, fantazji i zawsze zawierały jakąś głęboką mądrość. Bardzo pożyteczną i pełną inteligentnej myśli była książka dla młodzieży „Serce”, którą czytywało się tam i z powrotem i da capo. Gdy obie były większe, przyszła moda na powieści o plemionach czerwono-skórych. Któż z tego pokolenia nie pamięta „Ducha Puszczy” wraz ze swoim „Krwawym Natanem”. i jego psem „Cukierkiem”. Powiezonka z tej pasjonującej książki zjawiała się co raz to na ustach obu dziewczynek. Lilka na przykład częściej jakiegos wujka czekoladkami, które od niego otrzymała. Wujasek mówi, że dziękuję i że nie ma ochoty. A na to Lilka mruczy pod nosem: „Piankishaw kocha białą twarz, bo mu nie robi uszczerbku w wodzie ognistej, hugh!”.

Wszystkie dzieci przynajmniej sobie do głowy piora, robiły z gałęzi luki i bawiły się w Indian. Dzisiaj, kiedy nikt już prawie nie pamięta „zabawy w Indian”, niezrozumiałym byłby wiersz szesnastoletniej Lilki, który zaczynał się od słów:

Twoje imię nie wiem czemu jest jak
wóbel młody
i przyjemnie jest go pścić wżwazy
w obie dłonie — „Hugh!” —
rzekła „Pantera”...

Potem obie siostry zaczytywały się w powieściach Juliusza Verne i Mayne Reida. W ówczesnej Polsce powieść młodzieżowa stała na najwyższym poziomie i same najlepsze pióra pisywały dla większych dzieci. „Przygodą niebieskiego mundurka” Gomulickiego — co to była za pasjonująca książka! Jakże żywo przeżywały obie siostry wizytę lekarza — homeopaty, który w owej powieści przychodzi odwiedzić chorego chłopca i przede wszystkim (o zgrozo!) każe odsłonić okna i wpuszcza (horrendum!) świeże powietrze do pokoju chorego. Po czym chłopcu, który od całych tygodni skazany jest na dietę, każe podać wielkie plasty różowej szynki. Tego wspaniałego opisu nie zapomni się do końca życia.

Dla młodzieży pisywali: Dykowski, Dygasiński, Teresa Jadwiga (Morawska), Gąsiorowski, Walery Przyborowski — same doskonale pióra. Co tydzień młodzież otrzymywała „Przyjaciela Dzieci”, wspaniałe redagowanego, gdzie oprócz rodzimych piór były również tłumaczone powieści z obcych języków. W tym tygodniku był również doskonale prowadzony dział naukowy i ilustracyjny. W drugiej połowie ubiegłego wieku ilustratorem „Przyjaciela Dzieci” był Juliusz Kossak, było to w epoce, kiedy ryciny stały na najwyższym poziomie. No, a potem... Henryk Sienkiewicz, z tym pisarzem szło się pod rękę aż do dwudziestego roku życia. Gdy dziewczynki były małe, babka czytywała im „Krzyżaków” i „Quo Vadis”, opuszczając niegrzecznie te momenty, które jej się zdawały niestosowne dla młodego wieku. Gdy babcia przez roztargnienie została potem książkę w pokoju dzieciennym, obie dziewczynki rzucały się na nią i wyszukiwały z gorączkową ciekawością opuszczone zdania. Sienkiewiczowskie powiezonka tak weszły w potoczną mowę ówczesnej młodzieży, że nieomal w każdym zdaniu był jakiś cytat z „Ogniem i mieczem” lub „Potopu”. Kiedyś, gdy obie siostry były jeszcze małe, weszła do ich pokoju mama i poleciła Fräulein, aby je przebrała w świeże sukienki i rozpuściła im włosy. Obie wiedziały co to oznacza. Oznaczało to jedną z wielu kar boskich, a mianowicie zejście na dół do salonu do gości... Trzeba było wejść ładnie uśmiechniętym, dygnąć od progu, po czym cmoknąć przepoconą glacie rękawiczkę jakiejś nowej matrony. Ponieważ obie bardzo się tym brzydziły, więc Lilka wymyśliła na to sposób, a mianowicie aby całować rączkę od parasolki, którą zwykle te damy brały ze sobą, zamiast przepoconej rękawiczki pachnącej benzyną. Kiedyś, gdy Madzia była mała, mama przeżyła z nią straszny wstyd. Jakaś jej znajoma o wybitnie malpich rysach wzięła ją na kolana, a Madzia, to spostrzegawcze dziecko, przygląda jej się i mówi: „Mamo, malpeczka!”... Została natychmiast wyprowadzona z salonu, niemniej dama nigdy już nie przekroczyła progu domu, gdzie dzieci są tak niegrzeczne i źle wychowane. Dobrze ułożone dziewczynki musiały się przed gośćmi popisywać swoimi umiejętnościami, a więc zagrać coś na fortepianie, deklamować wierszyki albo coś zatańczyć. Dziewczynki to strasznie żenowało, gości nużyło, a tylko ich matce robiło przyjemność i podniecało jej dumę macierzyńską. Damy na kanapie przykładały do oczu pince-nez i usta rozszerzały w najuprzejmiejczy z uśmiechów. — „No a teraz — mówię, gdy Lilka lub Madzia odegrały bezbłędnie „Sonatine” Kuhlaua albo Scarlattiego — zagraj nam coś ładnego!” — Piękna chwila była tylko ta, gdy mama w końcu biednym „tresowanym” dzieckiem rzuciła krótkie: „No, możecie już iść na górę!” Wybiegało się wówczas pędem z tego przybytku nudy i przysmuso dygnawszy jeszcze raz na pożegnanie. Za kotarą dzielącą salon od pokoju jadłalnego nadstuchiwali jeszcze to panie o nich powiedzą, zwykle dziwiły się utartym gości zwyczajom, że są tak podobne do ojca lub matki. — „Wie droga pani, że to wprost zادیwujące jaka młodsza z pani córeczek jest podobna do ojca — wykapany ojciec!” — Albo: „Wie pani, że to ciekawe, starsza córeczka ma zupełnie pani oczy”. Najlepiej powiedział kiedyś hrabia Łoś, który pisywał grafomańskie powieści, na widok dziesięcioletniej Magdaleny — „Ona jest podobna do babki — ale nie jak babka była młoda — ale tak jak babka jest teraz!”

„Frojlusia” rozplotła dziewczynkom warkocze i z boku przewijała je taftowymi kokardami, nałożyła na nie białe matrynskie sukienki i dokładnie wyczyściła im paznokcie. Przed wejściem do salonu obie przeżegnały się jak aktorzy przed występem na scenę. Na kanapie zamiast nowej „cioci” siedział poważny pan ze szpakowatą brodą. Lilkę przyciągnął do siebie i rzekł z rozczuleniem:

— Ale przecież to istna Lilka z mojej „Rodziny Polanieckich”!

Na małą Madzię nie zwrócił najmniejszej uwagi.

Później dowiedzieli się, że był to pan Sienkiewicz. Nieraz go potem w Zakopanem spotykali w góralskim serdaku albo granatowej pelerynie z kapturem. Jego dzieci o

wiele starsze od dziewczynek, Henio i Dziunia, nieraz wpadały do willi „Wołodzyjówka”, gdzie mieszkała cała rodzina Kossaków. Henio był wyrośniętym szczupłym chłopcem, Dziunia — smukłą paniąką o długich warkoczach i nie frapującej urodzie. Gdy Lilka i Madzia były już mężatkami, mama która dobrze znała całą rodzinę znakomitego pisarza, opowiadała im, jak to druga jego żona zwała mu już podczas podróży posłubnej. Mistrz — albo czymś przestraszył „niewinną paniąkę”, albo też, co gorsza — wcale jej nie przestraszył i zawiedzioną dziewczoją wróciła do mamy. Sienkiewicz zemścił się na niej w ten sposób, że ją dokładnie opisał w „Rodzinie Polanieckich” jako pannę „Castelli” czyli „Topolę”.

Dzieła Sienkiewicza nie opuszczają obu sióstr i gdy już były dorosłymi pannami, zaczytywały się w „Rodzinie Polanieckich” i „Bez dogmatu”. Wpływ tego sugestywnego pisarza nie ustawał. Madzia hodowała pieczołowicie ciemne wąski, którymi u swojej Anielki zachwycił się Sienkiewicz i płońska rumieniec gdy podczas tańca włosy jej się rozplotły, pamiętając jakie to wrażenie zrobiło na Stachu Polanieckim, gdy to samo przydarzyło

tował, w ogóle przez cały czas jest przy niej tylko jeden lekarz, który nawet konsylium nie zwołał. Chyba Płoszowski był dość zamożny, aby jej zafundować jakichś dobrych lekarzy...

— Lepiej nie wychodzić za mąż, jeśli z tego ma się umierać — zakonkludowała Magdalena — nie chcę takiej „służby bożej”.

— No dobrze, ale co robić, przecież nie można zostać starymi pannami, to już lepiej umrzeć — odparła Lilka.

Gdy na balach któryś z młodzieńców pomagał im zdjąć lub nałożyć jakąś balową narzutkę, spoglądały na niego sponione, czy się nie zatrząsał ze zmysłowego pożądania jak Płoszowski zdejmując z gołych ramion pani Maszkowej „sortie de bal”. Ach, ten święty Sienkiewicz, jakżeż on rozmyślał o młode dziewczynie i o ile mu się to lepiej udawało niż Gabrielowi D'Annunzio a później nawet Piti-grillimu! Były to pod półzakonną szatą ukrywane wstydlive straszliwe pożądania i zmysłowe ciągoty, które mogłyby się tylko porównać z opisanymi żywotów niektórych świętych, jak na przykład z żywotem świętego Alojzego, którą to książeczkę otrzymała Madzia od sióstr Ur-

Trzeba było wiedzieć, co to było wówczas nie otrzymać rozgrzeszenia, to było coś takiego jak klątwa! Madzia poszła do innego księdza i po prostu zataiła ten okropny grzech. Oczyszczona ze wszystkich przestępstw z wyjątkiem tego jednego — najstraszliwszego — wróciła do domu z niepewnym uczuciem popelnionego świnstwa. Obaj ci niemiecscy myśliciele: i Schopenhauer, i Nietzsche byli zagorzałymi wrogami kobiet. Nie należy zapominać, że mieli przeważnie do czynienia z „Hausfraunami”, co to tylko K i n d e r, K ü c h e i K i r c h e. Ileż razy Lilka cytowała (pod adresem młodszej siostry) zdania takie, jak na przykład Nietzschego: „Kobieta, gdy myśli to tak jak piesek gdy służy na dwóch łapkach — nikt się nie dziwi, że to robi źle, tylko że w ogóle robi...” — albo Schopenhauera: „Kobiety nie mają zrozumienia ani dla wiedzy, ani dla przyrody — dla niczego co wychodzi poza ich pleć”. Lilka była taką wielbicelką Schopenhauera, że wyjątki z jego dzieł, nie tłumaczonych na język polski, tłumaczyła dla własnej przyjemności i miała ich całe zeszyty.

Bardzo chętnie czytany przez obie siostry był również amerykań-

i wróciwszy do domu oświadczyła kategorycznie, że było to po raz pierwszy i ostatni. „Mój nos nie jest stworzony na to aby wachać tak okropnie smrodki — rzekła — nie rozumiem tylko jak Madzia może wytrzymać w tym powietrzu, ale ona jest taka inna ode mnie...”. Powietrze w tej dusznej malej salce było rzeczywiście straszne a okna otwierało się dopiero po skończonych wykładach późnym wieczorem. Biedni, pełni poświęcenia profesorem musieli też cierpieć nad tym odorem di femina — ale na to nie było rady. Kursów higieny dla młodych dziewcząt nie było wówczas. Będąc wciąż pod wpływem mądrej rady Ruskina Magdalena chodziła również, mając osiemnaście lat, do szkoły malarskiej panny Niedzielskiej, gdzie pod kierunkiem znanych ówczesnych malarzy rysowało się akty i martwe natury. Jeśli chodzi o akty, to były one tylko kobiece, aby uczęszczających do owej szkoły panienek nie wodzić na pokuszenie. Madzia nie miała do malarstwa sztalugowego zdolności za grosz, nad czym mocno bolała. Doskonale sobie przypomina jak czarujący profesor Józef Czajkowski za każdym razem, ilekroć przychodził oglądać prace swoich uczni,



Rys. Maja Berezowska

się jego „Maryni”. Poza tym będąc na wsi u ciotki w Poznańskim, gdzie było wielu atrakcyjnych kuzynków, myślała się dość pobieżnie, aby mieć w sobie „jeszcze coś z ciepła snu” (patrz: „Rodzina Polanieckich” str. 37 — „Anielka przyszła dziś na ranną kawę w jakiejś przestronnej marynarskiej bluzce w paski, pod którą można się było domyślać jej kształtów, ale można też było głowę stracić dzięki takim domysłom. Miała oczy zaspane, a w sobie jakieś ciepło snu. Coś bajecznego jakiego ona robi na mnie wrażenie!”). Sienkiewicz nigdy zresztą nie wspominał aby go bohaterki brały ciepłą kąpiel lub chociażby kąpały się w rzecie. Ten wielki katolicki lubieżnik słowo „czystość” rozumiał tylko jako zaletę natury moralnej. Kto wie, czy kobiety domyte w ogóle robiły na nim wrażenie i czy nie miał z nimi takich jak Henryk IV, który — gdy mu przyprowadzono większą dziewczynę, poprzednio przez jego dworzan dokładnie wyszorowaną — skrzywił się mówiąc: „On me l'a gatée” (zepsuli mi ją). Dziwne i przez lekarzy nieznane choroby, którym podlegały jego bohaterki będąc w ciąży, też bez przerwy zaprzątały umysły obu sióstr. „Widocznie każda kobieta która spodziewa się dziecka musi przechodzić jakieś straszne choroby od których się umiera” — zwierzała się Madzia starszej siostrze. — A kończy się to „paraliżem kiszek” jak u tej biednej Anielki. Popatrzy jak on tu piesz pod koniec II tomu — „Polepszenie jest znaczne, pani Celina traci zmysły z radości. Ja jeden z rodziny wiem co to jest. Nie potrzebowaliśmy go doktor mówić, że to przychodzi paraliż kiszek...” — Jak taki mądry, że wszystko naprzód wiedział — zauważyła roztropnie Lilka — to dlaczego nie sprowadził z Berlina lub Rzymu, dokąd ciągle jeździł, jakiegos specjalistę aby ją ra-

zulanek przed I komuniją. W tej książeczce jakiś bogobojny ojciec-grafoman opisywał, jak św. Alojzy był tak skromny i wstydlivy, że nawet wówczas jak jego matka wchodziła do pokoju rumienił się, robił znak krzyża świętego i... odwracał głowę. Mama dziewczynki, chociaż była sama bardzo religijna, oburzyła się na ten opis i wrzuciła książeczkę do pieca. Jeszcze piękniejszą lekturę przedstawiała broszurka opisująca „Żywot św. Filotei”, ofiarowana na lekturę wakacyjną przez zakonnice jednej ze swoich wychowanek, która później pod ich presją wstąpiła na zawsze do klasztoru. W tej książeczce jakiś świętobliwy mąż dawał cenne małżeńskie porady młodzieńczej Filotei; brzmiały one następująco: „Nawet słon, luba Filoteo, tylko raz do roku i to w celu mienia dzieć...” Zdanie to powtarzał Wojciech Kossak przy każdej okazji zaśmiewając się zdrowym śmiechem.

Gdy Lilka była już dorosłą panną, wynajdywała po antykwariach dzieła Bölschego, Nietzschego i Schopenhauera po niemiecku i zmuszała Madzię, aby je również czytywała. Czytanie Nietzschego było ciężkim grzechem, z którego należało się spowiadać. Jakież dumna była szesnastoletnia Magdalena, gdy mogła księdku na powieści pochłaniać się, że go czyta.

Książd Bratkowski o twarży Savonaroli wznosił dłoń w niebo i zagrzmił:

— Jeśli mi, moja duszo, nie przysięgniesz, że więcej tej ohydnej i przez Kościół wykłętą literatury nie weźmiesz do ręki, to ci nie dam rozgrzeszenia.

— Klamstwo też jest grzechem — wybąkała Madzia — a ja nie mogę przysiąc, że go więcej nie będę czytać, proszę ojca.

— No to odejdz grzeszna duszo! Ja ci rozgrzeszenia nie dam.

ski pisarz Mullford, który propagował optymistyczną wiedzę życia. Jego książka „Przeciw śmierci” była ukochaną lekturą Magdaleny. Z tej, czarującej zresztą, książki jedno szczególnie zdanie stało się niejako mottem jej życia: „Nie rób nigdy tego co ktoś inny może za ciebie lepiej zrobić”. To zdanko było wspaniałym wykrętem, aby nie sprzątnąć po sobie, nie pościelić samemu łóżka, nie nalać sobie samej herbaty i w ogóle nie robić tego co ktoś fachowy — a w tym wypadku s i ł u ż a c a — potrafiłby zrobić lepiej i sprawniej. Oczywiście, że to nie stosowało się do zajęć, które jej sprawiały przyjemność, tutaj znowu opierała się na zdaniu angielskiego pisarza Ruskina, którego książki też znajdowały się na jej stoliku nocnym. „Pamiętaj — pisał ów mądry pan — że masz czas na wszystko — tydzień składa się nie tylko z dni, ale i z godzin, jedną godzinę w tygodniu możesz przeznaczyć na studiowanie historii sztuki, inną na poznanie przyrody, inną na literaturę piękną, na wyczucie się sportów, gry w szachy itd...”. Opierając się na tej mądrej radzie Madzia rzeczywiście znajdowała czas na wszystko. Chodziła do tak zwanego „Baraneum” czyli na kursy prof. Baranieckiego, gdzie literaturę polską wykładał straszliwie brzydki, ale niezmiernie uroczony prof. Lucjan Rydel, historię sztuki Maciej Szukiewicz itd. Chodziła na wykłady chemii i fizyki, jednym słowem, prawie na wszystko bez wyboru, ponieważ godzinę w tygodniu można było i na to przeznaczyć. Kursy prof. Baranieckiego przeznaczone były tylko dla podraśających panienek, które wówczas wszystkie bez wyjątku woniały... cebulką z domieszką zapachu zjełczałych orzechów. Tę woń wydzielali ich tłuście warkocze. Lilka tylko raz jeden poszła na wykład prof. Rydla

pochylił się nad nią i szeptał jej w uszko: „Wszystko zmyać i na nowo!”. Poza książkami z dziedziny przyrody i filozofii modne wówczas „nauki tajemne” bardzo interesowały obie siostry. W antykwariatach na ulicy Szpitalnej pełno było tego rodzaju literatury tłumaczonej horendalnie z języka niemieckiego, którą można było nabyć za kilkadziesiąt centów. Jedną z owych książeczek pod tytułem „Czerwony smok” była istnym wzorem szkodliwego grafomanstwa na tle jakichś średniowiecznych zabobonów. „Weź dudka (samca) — widniało na łamach owej broszurki — wytocz z niego krew (najlepiej w noc Świętojańską) i pokrop nią poduszkę twego męża — małżonka natychmiast zaofiaruje ci stosunek”. Poza przepisami natury erotycznej były tam i inne doniosłe rady. Na przykład: „Jak rozbieszyć dziewczę?” „Weź do gęby trzy ziarnka fasoli i patrzaj bystro w oczy dziewczicy wypowiesz szybko: „ebe”, „mebe”, „matristope” a roześmieje ci się na pewno”. Obie siostry oczywiście pękały ze śmiechu czytając „Czerwonego smoka”, co im nie przeszkadzało chcieć wypróbować na biednej Fräulein systemu z niezawodnym rozśmieszeniem dziewczicy. Madzia włożyła do ust trzy ziarnka fasoli i stając przed „Frojlusia” wybelkotała jednym tchem: „Ebe, mebe, matristope”.

— Um Gottes willen! — zawołała przerażona Fräulein bez cienia uśmiechu. — Seit ihr verrückt geworden?

— A może ona już nie jest dziewczicą? — roześmiała się Lilka, gdy Frojlusia uciekała z pokoju.

Śmiechy — śmiechami, ale co szkodziło spróbować magicznych recept zawartych w tym niezwykłym dziele. Na przykład: „Jak zdobyć młodzieńca?” Obie siostry zastana-

MŁODZIEŻ

wiały się, czy lepiej wrzucić młodzieńcowi do kawy lub herbaty kawalek cukru, który miały nosić w woreczku pod pachą cztery tygodnie, czy lepiej wsypać mu do filiżanki trochę popiołu ze swoich spalonych włosów? Drugi sposób wydał im się o wiele prostszy i łatwiejszy. Młody przystojny kuzynek, który miał po południu przyjść z wizytą, został skazany na rolę królika doświadczalnego.

— Ja mu wsypię trochę popiołu z moich spalonych włosów do kawy — postanowiła Lilka.

— Dlaczego ty a nie ja?

— Bo ja jestem starsza.

Madzia zwabiła kuzynka na chwilę do werandy a podczas tej chwili Lilka wysypała mu do kawy szczyptę magicznego popiołu.

Młodzieniec skrzywił się i odsunął filiżankę. — Tę kawę czuć spalenizną — rzekł. — Może mi kuzyneczka należe świeżaki...

Książki i broszurki o „Obojga Magii”, tj. czarnej i białej, aby nie zrażać do siebie katolików pakowały do swoich formulek magicznych różnych świętych i święta trójce. Obie siostry będąc już zupełnie dojrzałymi kobietami, wychodząc z domu mówily ze śmiechem: — „Boże strzeż mojego wchodu i wchodu — amen”, którą to formułkę zapamiętały sobie z jaskiniowego dziecka „o wtajemniczeniu”. Wspaniali blagier i doskonali kupiec, Wincenty Lutosławski, twórca tak zwanej „Eleuterii” czyli stowarzyszenia abstynentów, w jednym ze swoich późniejszych dzieł o yogach i ich ćwiczeniach oddychowych, stara się połączyć naukę yogów z wiarą katolicką. Ranne ćwiczenia woli polegające na zakryciu kłódką głowy i trwaniu tak przez kilkanaście minut łączył z jakąś modlitwą dla wiernych, tak samo jak wiele innych ćwiczeń. Brzmiało to mniej więcej w ten sposób: „Z łaski boga i trójcy przynajświętszej wdechuję PRANĘ — amen”, albo: „Na pamięć ręki Chrystusa niechaj wytrwam w tej „pozycji lotosu” pół godziny bez poruszenia”.

Obie siostry, Lilka i Madzia, były bardzo długo pod wpływem „wtajemniczonych” i pilnie odprawiały wszystkie ćwiczenia gimnastyczne — oddechowe wzięte ze znanego podręcznika „Hatha Yoga”, co nie uprawiane z pobożną przesadą było nawet korzystne dla ich zdrowia. O ile jednak Lilka umiała we wszystkim utrzymać szlachetny umiar, o tyle młodsza siostra podchodząca do wszystkiego z entuzjastyczną przesadą zatrzymała się pod kłódrzanym powietrzem siedząc o szóstej rano z głową nakrytą kłódrą; idąc na ulicę nie zauważała znajomych, tak była przejęta połączeniem ilości kroków z rytmicznymi oddechami i wydechami, a stojąc rano w otwartym oknie zatykała jedną dziurkę od nosa mówiąc głośno, na przykład: „wdechuję miłość”, a zatykając drugą: „wydechuję obojętność”, że mogła się wydawać istotą z lekką kłopotliwą. Kiedyś takto zastawiając ją przy takim ćwiczeniu rzekł ze swoim dobrym humorem: „A możebyś tak Magdusia spróbowała w d e c h i w a c m a d r o s ę a w d y c h i w a c g ł u p o t e, co?”

Mistrz Lutosławski w swoim dziełku chrześcijańsko — teozoficznym polecał gorąco posty przez Kościół nakazane, przyrównując je do wyrzeczeń natury materialnej yogów i teozofów. Prawdziwy chrześcijański „wtajemniczony” nie powinien być nie tylko jadać mięsa, ale nawet jarek jako produktu zwierzęcego oraz... kawioru. Miał żywić się tylko nabiałem, roślinkami i owocami. Lilka kochająca zwierzęta nade wszystko była najzupełniej jego zdania i jedząc przez jakiś czas tylko nabiał i jarzyny oraz owoce, omalże nie popadła w złośliwą anemię. Namówiona przez lekarzy, że łązi w oczach nieomal, obgrzywała kostki od kurcząt i piła surowe jajka, ale nikt nigdy nie widział, aby zjadła krwawego bifstyka albo pląt pięknej różowej poledwicy.

Wśród owych dzieł traktujących o magii i yogach było też w bibliotece obu siostr grubo, wyczerpujące dzieło słynnego chiromanty Debarrolle'a o „Chiromancji”; z tej książki Madzia czerpała wiedzę tajemną ucząc się na pamięć odszyfrowywania wszystkich znaków, gwiazdek i krzyżyków znajdujących się na ludzkiej dłoni i niedługo zasłynęła jako „znakomita chiromantka” w gronie swoich młodych przyjaciół. Miało to bardzo podniecające strony, ponieważ w celach naukowych wypadło wówczas brać do ręki dłoń jakiegos atrakcyjnego młodzieńca, obracać ją w stronę światła badając z poważną miną zło-wróbnę lub szczęśliwe znaki. Była to zresztą zabawa bardzo wówczas popularna i wielu ewanych młodzieniaszków udawało biegłych chiromantów, aby móc dlonie pięknych dziewcząt długo przetrzymywać w swoich, o co nawet najbardziej enotliwe matki nie mogły mieć do nich pretensji, ponieważ i one wierzyły w prawdziwość owej wiedzy tajemnej. Debarolle zresztą, podobnie jak Lutosławski, nawiązy-

wał wiedzę chiromantyczną do wierzeń niektórych ojców Kościoła i we wstępie do owego wyczerpującego dzieła cytując słowa św. Augustyna: „że Pan Bóg wypisał człowiekowi na ręce całe jego życie w hieroglifach, do których pozwolił mu odnaleźć swoim rozumem klucz...” Ponieważ jednak każda wiedza nawet „tajemna” może się na coś przydać, więc Madzia badając wiele rąk, które „jej przez ręce przechodziły”, wiedziała od razu z zewnętrznego charakteru dłoni, czy ma do czynienia z człowiekiem czystym i schludnym, pracowitym czy leniwym, wysportowanym czy też zniewieściłym itd... co jej się nieraz w dalszym życiu bardzo przydało.

Wielkie wrażenie na dorastającej młodzieży robiła powieść Prusa „Emancypantki”. Madzia szczególnie zacytywała się w kolejach losu swojej imienniczki, do której zresztą nie była nic a nic podobna. Jej przyszły mąż, Jaś Starzewski, przyznał jej się już po ślubie, że nigdy nie byłby się w niej tak zakochał, gdyby nie nosiła imienia bohaterki „Emancypantek”. Druga powieść Prusa, „Lalka”, nie była wówczas tak modna i przez młodzież lubiana jak obecnie. Takich Izabel Łęckich było w tak zwanym mondzie tak bardzo wiele, że nie frapowała ona nikogo jako artystyczna koncepcja. Spotykało się ją na balach, na dobroczynnych wnetach, na „jour - fixach” i jak u Prusa na przedwiekanoonych kwestach siedzącą przy stoliku wraz ze swoją matką czy ciotką. Była tak samo jak w powieści wielkiego pisarza piękna, chłodna, wyniosła i gotowa się w każdej chwili sprzedać jakiemuś dobremu kupcowi za grubszą forszę, czemu jej się wówczas nikt zanadto nie dziwił.

Szalone wrażenie zrobiła na obu siostrach „Anna Karenina”. Była to pierwsza powieść, jaką czytały, gdzie autor nie potępia wiarołomnej żony. Robił to również w tym samym czasie Maupassant, ale tak lekko i po łatyńsku, że to nie robiło toż wrażeń co przy czytaniu Tolstoja. Lilka zaczytywać czytać o miłości Anny do Wrońskiego, powieści zła z westchnieniem: „Z miłością jest tak jak ze zwierzętami domowymi, które zwykle kończą tragicznie”. Stefan Żeromski, ubóstwiany przez dorastającą młodzież, był taki inny od ziemianckiego świętoszka Sienkiewicza i spokojnego nieerotycznego Prusa. Postacie tego wspaniałego pisarza drżały od wewnętrznej ognia, który udzielał się jego czytelnikom. Od opisu tańca Heleny z Rafałem w „Popiołach” blady pannaom twarze lub występowały na nich krwiste rumieńce. A scena z wilkami! Nie spało się później do rana. Nikt tak w Polsce przed nim nie pisał, tak jedynie, krwawie, dosadnie i przejmująco. Tylko „Dziełom grzechu” nie czytały przed zamążpójściem, na co musiały dać swojej matce słowo honoru. Po przeczytaniu tej powieści jedna z pensionerek u panny Strażyńskiej popełniła samobójstwo wypijwszy całą flaszkę octu, inne pochorowały się z wrażeń. Nie należy zapominać, że ówczesne panny nie przeżywały jeszcze własnego życia, żyły i cierpiały z bohaterkami romansów, co im pozostało nawet później, tak że Lilka w wiele lat później, gdy już była mężatką, dostawała temperatury, czytając „Zaczarowaną górę” i nie mogła się wstrzymać od kaszlu, a Madzia musiała jeść bez przerwy w trakcie czytania „Głodu” Knuta Hamsuna. Ich późniejsze talenty pisarskie kształciły się na tych pisarzach, do których duchowo były najbardziej zbliżone i którzy na nich zrobili największe wrażenie. Pierwszym nauczycielem — pisarzem Madzi był Balzac w książce „Male niedole pożycia małżeńskiego”, na której się później nieraz wzorowała, a potem bojowe książki Boya i nowelki Maupassanta. Ojcami pozycji jej siostry, Marii Pawlikowskiej, byli: Heine, którego uwielbiała i nawet tłumaczyła na język polski, oraz Staff, z którego tomikami poezji nigdy się nie rozstała i brała ze sobą w podróże. Jedną sceną w Wenecji związaną poniekąd z wierszami Staffa utkwiła Magdalenie na zawsze w pamięci. W Lilce, dziewiętnastoletniej pannie pięknej wówczas jak boginka, zakochał się bardzo przystojny kelner Włoch. Śniadanie jadano się wówczas na otwartym tarasie wspaniałego hotelu „Danieli” przerebionego z jednego z pałaców dózów. Przed nakryciem Lilki zakochany Włoch układał zawsze serce z czerwonych i niebieskich kwiatków. Lilka kiedyś zostawiła poprzedniego dnia na stoliku, przy którym zawsze siedziała z mamą i Madzią, swoją ukochaną książkę Staffa pod tyt.: „Ptakom niebieskim”. Nazajutrz ujrzała ów tomik leżący przed jej nakryciem otoczony girlandą kwiatów. Gdy przyszła, kelner pochylił się nad nią i poprzez jej ramię przeczytał głośno tytuł książki jakimś jak gdyby japońskim akcentem: ptakomom niebieskim...

Magdalena Samozwaniec
(Fragment powieści autobiograficznej pt. „Maria i Magdalena”).

C I C H Y D O N

(Dokończenie ze str. 3)

wszystkimi. Nie do nauki mu było. Rzucił szkołę, szeroka fala rewolucji zagarnęła go i uniosła w gąszcz wydarzeń.

Młody Szolochow pochodził z rodziny ludzi pracy. W piersi jego więc rozgorzała pasja walki o szczęście uciskanego ludu pracującego. Dlatego właśnie, będąc jeszcze ledwie подростkiem, komsomolcem, walczył z kulakami, pełniąc służbę w oddziałach zaopatrzenia. Dlatego właśnie uczestniczył w walkach z bandami. Dlatego też w utworach swoich sympatie swoje umieścił po stronie rewolucyjnie nastrojonej biedoty. Partia, Komsomol wychowywał jego myśl w duchu rewolucyjnym, wnieśli w jego sercu rewolucyjną żądzę walki i udziału własnego w wielkiej bitwie wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Wziął udział w tej bitwie najpierw z karabinem w rękę, później zaś z piórem w dłoni.

W latach wojny domowej Szolochow przemierzał kraj nad Donem. Przez czas dłuższy był w oddziałach zaopatrzenia. Ściagał bandy, które grasowały nad Donem do roku 1922. Często bandy ścigały jego oddział.

W roku 1923, kiedy wygasała wojna domowa i zakończono likwidację pustoszonych kraj band, Szolochow zaczął pisać. W tym samym roku zaczął drukować swoje utwory w komsomolskich gazetach i czasopiśmie. Pierwszy tomik opowiadań wydał w roku 1925. W tym właśnie 1925 roku Michał Szolochow narodził się jako pisarz.

Stacja Wieszeńska leży tuż nad Donem. W szerokich ulicach bieleją kozackie kurenie. Ulice są pełne kurzu i prawie bez zieleni. Tylko ukochana rzeka opływająca cicho stację ma brzegi porośnięte zielenią. Rzeka raz jest lazurowa pod błękitem wysokiego nieba, to oślepiająco złociła w blasku słońca, to znowu surowa, sepośna i szara, szumi falą i wiatrem.

Niedaleko od Donu stol nowy dom z facylką — to dom Szolochowa. Górę zajmuje gabinet — tutaj pisarz pracuje. Latem nie można w nim wysiedzieć — skwar, zimą także — chłód — żartuje Szolochow.

Pisarz pracuje tylko nocami. To przyzwyczajenie spowodowane jest przez odwieczających go, dosłownie całymi falami, gości. Są to kozacy,

kołchoźnicy, robotnicy, dowódcy wojskowi, studenci, turyści, ludzie z zagranicy, starcy, dzieci, dziennikarze, pisarze, muzycy, poeci, kompozytorzy — przyjeżdżają tu autami, koniami, wierzchem, łodziami, statkami, przylatują samolotami. A wszystkich przyjmuje Szolochow uprzejmie, rozmawia z nimi, wyjaśnia, pomoże, poradzi.

Szolochow kocha gorąco swój step z jego wiatrami-suchowiejami, słońcem to niemiłosiernie upalnym, to łagodnym, z jego jarami, łaskami, z jego zwierzyną i ptactwem. Kocha gorąco swój cichy Don, który usłusze tutaj skrzęta i miękko, czule obejmuje stanicę zielonymi brzegami, tworząc nadzwyczajnie miły, przyjemny, cichy i odrobinę romantyczny zakątek. A w Donie pływa ryba, bardzo ceniona — ostronosa, czeczuga. Szolochow z zamiłowaniem oddaje się rybolowstwu.

Don dostarcza mu wielu wrażeń, typów ludzkich, często nieoczekiwanych przejawów twórczości ludowej, samorodnej, oryginalnej, rdzającej się w walce z przyrodą. Pisarz ma szerokie znajomości wśród kozaków — rybaków i jest z nimi w najbardziej przyjacielskich stosunkach. Uczy się od nich, obserwuje ich, przejmując od nich formowane od wieków wytwory twórczej myśli ludu.

Stary, siwobrody, blisko czterdziestoletni kozak — rybak, milczący, skupiony, zarzuca sieci na czeczuge, tak jak inni rybacy, których barkasy wędlini na błękie Donu. Raptem glinie i młot nie wie gdzie się podział. Tylko zawsze, kiedy powraca swoim barkasem do stacji, wiezie w plecionym koszu pełno żywej, trzepocącej się czeczugi. Czeczuga jest rybą kapryśną. Raz nie zdążyysz ze zdejmowaniem jej z haczyków przy siatce, innym razem przepada raptem — ani jednej! Rybacy suszą wtedy swój sprzęt na brzegu, nie ma sensu zastawiać sieci. A dział zawsze skądś przysyła swój barkas pełen czeczugi. Między kozakami — rybakami chodzi pogłoska: dział — czardziej! Ile go nie prosili, ile mu się nakłaniali, żeby tajemnicę wyznał — dział nie, milczy jak kamień.

Zaczął go prosić o wydanie sekretu Szolochow. Dział za nic w świecie. Razu pewnego Szolochow

wyciągnął z kieszeni butelczynę, wypili. Następnym razem wyciągnął, dział się ugiął, nie wytrzymał.

— Słuchaj wnuczku, przysięgnij przed Bogiem, że nie powiesz nikomu. To mój dziadek ojcu mojemu przekazał, a ojciec mnie. Chodźmy.

Spuścili się ku rzecze. Na całym brzegu widać było wyciągnięte barkasy: czeczuga odpłynęła dokądś bardzo daleko, gdzie Don ciemno siniał swą wstęgą. Focarli do kasty, pletionego z witek kosza, który lekko kołysał się w wodzie na umocowaniu. Dział wsadził weń rękę i wyciągnął maleńką, może dziesięciocentymetrową czeczukę — zawsze miał ich kilka w pogotówiu — potem wyciągnął z szarawarów długą, długą nie własnego przedzenia, przeciągnął jej koniec poprzec drugą czeczukę, zawlażal, a do drugiego końca umocował gęsie pióro.

— No, wsiajad.

Wsiedli do barkasu. Dział bitym okiem obrzucił brzeg — nikogo. Odepchnął łódź. Popłyneli za zakręt. Dział ostrożnie wpuszczał czeczukę do wody i puścił wolno pióro z nitki. Czeczuka znikła w głębi wody, pióro zaś, to zanurzając się, to wypływając na powierzchnię, migotać w wodzie, popłynęło szybko w górę Donu. Dział z całych sił robił wiosłem podążając za piórem.

Pióro nagle się zatrzymało, stało pionowo, potem położyło się na wodę i popłynęło w dół. Dział za nim. Pióro bielejąc w wodzie ucieka — kilometr, dwa, trzy a barkas za nim. Długo płynęli z prądem. Nagle znowu się zatrzymało. Zatrzymał się również barkas. Długo stali. Wówczas dział zdjął czapkę z głowy i przebiegł się znakiem krzyża.

— Tutaj...

Zarzućcie sieć z haczykami. Wkrótce zaczęły zdejmować trzepocące się czeczugi.

Czeczuga jest rybą o instynkcie społecznym — żyje stadami. I jest rybą prowadzącą koczowniczy tryb życia: pomiesza w jednym miejscu i nagle przeniesie się o dziesięć, dwadzieścia kilometrów dalej, a na poprzednim miejscu zostaje pustka, więc rybacy suszą sprzęt. Dlatego mała czeczuka znalazła stado, zapojeone pasją postaci, różnorodnej i żywe. Oto na przykład rodzina kozaka Melechowa: stary Pantelej, jego żona Lukiniczna, ich synowie Grigorij i Piotr, córka Duniaszka, żona Grigorija Natalla, znowa Piotra Daria. Siedem osób, siedem odrębnych postaci. A obok nich jeszcze Christonia i Prochor, i rodzina Korszunowów, i rodzina obsznika Listnickiego, i wiele dziesiątków innych, często epizodycznych postaci, jak pułkownik Czerniecow lub komisarz Kriwozylkow, odmalowanych tak żywo i tak barwnie, że niesposób je zapomnieć. I zadziwiająco serdeczny, czarujący, pełen głębokiego piękna duchowego i siły obraz prostej rosyjskiej kobiety — Aksinii...

Zapędziłem się i mówię o postaciach, które zjawiają się dopiero w drugim, trzecim i czwartym tomie „Cichego Donu”. Ukazywały się te tomy w odcinkach pism i w osobnych wydaniach książkowych aż do roku 1940, kiedy Szolochow ukończył pracę nad ostatnim tomem. Odtąd co roku powieść ta wychodzi w nowym wydaniu w olbrzymim nakładzie i za każdym razem jest natychmiast wykupywana. Przetłumaczono ją w Związku Radzieckim na 55 języków, a za granicą ukazała się w języku francuskim, angielskim, niemieckim, polskim, chińskim, hiszpańskim, węgierskim, szwedzkim, włoskim i w wielu innych. Wszędzie powieść ta spotkała się z wysoką oceną, jako wybitne dzieło rosyjskiej literatury narodowej.

Pracując nad drugim i trzecim tomem „Cichego Donu”, Szolochow napisał jednocześnie i wydał w roku 1932 pierwszy tom drugiego swego wybitnego utworu — powieści „Zorany ugor”. Cieszy się ona takim samym powszechnym powodzeniem jak „Cichy Don”. Po dwudziestu dwóch latach Szolochow powrócił do dalszego ciągu „Zoranego ugoru” i w ubiegłym roku zaczęły się ukazywać w dziennikach i miesięcznikach rozdziały drugiego to-

Trzeba było widzieć zachwyt Szolochowa — zachwyt łowcy i zachwyt obserwatora, zachwyt pisarza, w którego ręce wpadł z kopalni twórczości ludowej maleńki, drogocenny kryształ.

Lowień ryb w Donie oraz myślistwo — kiedy od wschodu do zachodu słońca włoży się po stepie, w którym rozsiadane są w parowach i nad rzeczkami stepowymi kołchozy — daje Szolochowowi zarówno ogromne zadowolenie, jak olbrzymi materiał twórczy. Don, step, kozactwo, jego historia, jego życie, psychologia, cały ogrom tych spraw napływa niepostrzeżenie zewsząd i wiąże się organicznie z psychologią, z usposobieniem i uczuciami samego pisarza.

Powraca Szolochow konno do domu po przejażdżce w stepie. Już nieopodal stacji, pomiędzy sadami, ciągnie się wąska, ściśnięta wysokimi płotami droga. Zza zakrętu wypada mknące z wielką szybkością auto. Koni staje dęba, jeszcze sekunda, i wali się wraz z jeźdźcą na kupę tłuczonego kamienia leżącego około płotu. Zatrzymał auto, wyskoczył, wdychając, przepaszając, prosząc, żeby wsiąść do auta, zawiozła do domu a spłoszonego konia odprowadza.

— Już dobrze... Nie wielkiego — mówi Szolochow i wspina się na siedło: jeźdźcowi jechać autem, a konia prowadzić za cugle — to rzecz upokarzająca.

Wiedzą do stacji. patrzy a tu morda konia we krwi. E — e — stoj! Czyż w takim stanie można się pokazać w stancy? Zawraca do Donu, zlati na brzegu, wprowadza konia do wody i zaczyna starannie obmywać mu mordę z krwi. Połem obmył brzuch i nogi z błota — zachlapały się, kiedy się zwałił, poprzez kamienie. Obmył z największym trudem, wysiłkiem i bólem: nogą jak gdyby z olowiu, dźwignął się na siedło i wjechał do stacji na wymytym, czystym koniu. W domu nie mógł już sam zleże — zdjął go z siodła. Wnieśli do izby. Nie było co nawet marzyć o ściągnięciu buta. Noga poczerwiała, spuchła jak bęba. But trzeba było nożem rozciąć. Cecha najbardziej charakterystyczna dla kozaka — sam się pluł, ale koni musi być w porządku.

Aleksander Serafimowicz
Iłum, Waldemar Kiwilszo

Ulubiony pisarz

(Dokończenie ze str. 3)

dramat namłotności ludzkich rozegrał się nad brzegami tej cichej rzeki!

Opublikowana w roku 1928 w kilku numerach czasopisma „Oktiabr” powieść „Cichy Don” wywarła wstrząsające wrażenie na czytelnikach. Pod względem wartości artystycznych i poetyckich nie ustępuje ona klasycznym dziełom literatury rosyjskiej i światowej. Najbardziej ująłone i sprzeczne uczucia i matzenia ludu rosyjskiego znalazły wyraz we wzruszających, dramatycznych i tragicznych obrazach życia. Z kart tej powieści dolatuje nas wrzawa bitewna i śpiew słowika, jęki i przekleństwa umierających, okrzyki radości zwycięzców, płacz cierpiących i pełen żaru szepot zakochanych...

Już w pierwszym tomie powieści czytelnik ujrzał potężne, niezwykle,

mu tej książce. Świadczą one o dalszym rozkwicie talentu pisarza. Szczególna cecha talentu Szolochowa polega na tym, że odzwierciedla on w swych utworach najważniejsze, decydujące wydarzenia w życiu swego narodu. Wydarzeniem takim była rewolucja, i wojna domowa. Poświęcił temu tematowi „Cichy Don”. Następnym z kolei ważnym wydarzeniem stała się kolektywizacja rolnictwa, i to wydarzenie obrał Szolochow za temat swej drugiej wielkiej powieści, „Zoranego ugoru”. Ostatnim wielkim wydarzeniem w życiu narodu była wojna z lat 1941—45, i jej poświęconą jest powieść „Walczący za ojczyznę”, której fragmenty ukazywały się w ciągu ubiegłych dwunastu lat. Szolochow pracuje dalej nad tą powieścią i czytelnicy z niecierpliwością czekają na dalsze fragmenty. Pisarz otrzymuje mnóstwo listów z prośbą, by jak najprędzej wydał tę powieść. Prośby te są oczywiście bodźcem w jego pracy, nie mogą jednak wpłynąć na przyspieszenie jej. Szolochow stawia sobie w swej twórczości wysokie wymagania. Na jego biurku można zobaczyć nieraz po 7—8 wariantów tego samego rozdziału. Moim zdaniem każdy z tych wariantów jest dobry, ale Szolochow narzeka:

— To nie to, jeszcze nie to.

I warto zobaczyć jego oburzenie, gdy mu wypadnie do ręki marna powieść rosyjska lub przekład z obcej literatury. Oburza się tak, jakby to była osobista dla niego zniewaga. Szczególnie gniewają go powieści, w których nie ma nic poza interesującą fabułą. Twórczość artystyczna to w jego pojęciu zaszczytna służba społeczna.

24 maja Szolochow kończy 50 lat. Dzień ten zastaje pisarza w rozkwicie jego twórczych sił. Nie ulega wątpliwości, że zachwyci on jeszcze czytelników nowymi świetnymi dziełami.

Michał Szkerin

Moskwa, w maju.

Wyróżnienia w ankiecie

Spóśród autorów listów nadesłanych w odpowiedzi na ankietę „Nowa Kultura w oczach czytelników” wyróżnieni zostali: Konrad Brodzkiy — Warszawa, Stanisław Bickupski — Warszawa, Stanisław Brudziński — Lublin, Maria Chamska — Warszawa, Józef Domański — Wrocław, Feliks Fornalczyk — Szczecin, Jan Frankowski — Koszalin, Jadwiga Gorzel — Lublin, Jerzy Hiond — Warszawa, Alicja Sroga — Warszawa. Wyżej wymienieni czytelnicy otrzymują album reprodukcji warszawskich obrazów Canaletta.

Henryk Kierski — Warszawa, Jan Kierwilo — Warszawa, H. Lipiski — Wrocław, Irena Michałska — Warszawa, Jerzy Mizerski — Świdnica, Stanisławski — „Moje życie w sztuce” 3 tomy. Władysław Miśluna — Poznań, Jerzy Miszyszyn — Wrocław Oporów, Barbara Nawrocka — Warszawa, Jerzy Ol-

szewski — Sopot, Godfried Pyka — Przyszwice pow. Rybnik: Jasturna „Mie-kiewicz” i Antologia „Dwa wieki poezji rosyjskiej”.

Jerzy Palimaka — Wrocław, Halina Rybicka — Końskowola pow. Puławy, Ryszard Rowiński — J. W. 1324 „S”, Jadwiga Świerczyńska — Międzyzrzec Podlaski, Wojciech Śulewski — Warszawa: Jördana „Wędrowni delegata” i Putramenta „Rozstaje”.

Severyn Skulski — Karkonow pow. Bydgoszcz, M. Sawieki — Józefów k. Ręgoraja, Alicja Stepien — Warszawa, Mieczysław Szewczyk — Warszawa, J. Sypulowska — Łódź: Tuwima „Z rosyjskiego” 3 tomy.

Marian Stepien — Warszawa, Jerzy Si-

kuciński — Wrocław, Anna Wawrzyn-

kowska — Kielce, Leon Zarzycki —

Łódź, Maria Zdanowska — Brzeg: Bo-

rowskiego „Pisma zebrane” 6 tomów.

KONKURS na podręcznik historii

MINISTERSTWO OŚWIATY I PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH

ogłaszają

KONKURS OTWARTY

NA PODRĘCZNIK HISTORII DLA KL. IV SZKÓŁ OGÓLNOKSZTAŁCĄCYCH STOPNIA PODSTAWOWEGO

Warunki konkursu:

1. Na konkurs mogą być zgłaszane wyłącznie prace oryginalne, odpowiadające programowi nauczania ustalonemu przez Ministerstwo Oświaty dla kl. IV szkół ogólnokształcących stopnia podstawowego oraz dostosowane do metod nauczania na tym poziomie.
2. Ogólna objętość tekstu podręcznika nie może przekraczać 110 stron druku (tj. około 130 stron maszynopisu), zaś objętość poszczególnych jednostek lekcyjnych — około 2 stron druku (tj. około 2,5 stron maszynopisu).
3. Požadane jest porwanie w tekście podręcznika propozycji w sprawie materiału ilustracyjnego.
4. Osoby pragnące wziąć udział w konkursie obowiązane są do dnia 15 lipca 1955 r. zgłosić swój udział pod obranym godłem Państwowym Zakładom Wydawnictw Szkolnych. Program historii dla kl. IV można otrzymać bezpośrednio w Redakcji PZWS, Warszawa, Plac Dąbrowskiego 8, lub na żądanie będzie wysłany pod wskazywanym adresem.
5. Prace zgłaszane na konkurs muszą być nadesłane do Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych w postaci 4 jednobrzmiących maszynopisów, pisanych jednostronnie i interlinią.
6. Termin składania prac upływa w dniu 15 lutego 1956 r. W razie nadania pracy na pocztę, miarodajna jest data stempla pocztowego.
7. Prace należy zaopatrzyć w godło kopertę w zgłoszeniu udziału w konkursie, obciążając do zawiniętej koperty dane dotyczące autora (imie, nazwisko i adres), a jeżeli praca pochodzi od zespołu, należy dołączyć do niej ew. nagrody lub o ustanowieniu do tego pełnomocnika.
8. Ustanawia się trzy nagrody konkursowe:

I — 10.000 zł
II — 8.000 zł
III — 5.000 zł

Sąd konkursowy w zależności od wyników konkursu, uprawniony będzie do innego rozdziału nagród w ramach ich globalnej sumy.

9. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi przez sąd konkursowy złożony z naukowców i pedagogów, powołanych przez Ministerstwo Oświaty.

10. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych będą miały wyłączne prawo wydania prac zgłoszonych na konkurs i w tym celu autorzy tych prac będą obowiązani zawrzeć z Państwowymi Zakładami Wydawnictw Szkolnych odpowiednie umowy wydawnicze na warunkach przyjętych dla wydawnictw tego typu. Prawo to jednak wygasnie po upływie 2 lat od daty rozstrzygnięcia konkursu w stosunku do prac, które nie zostaną w tym czasie wydane.

11. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych wypłaca autorom prac nie-nagrodzonych lub niezakwalifikowanych do wydania 50 proc. sumy, jaką przysługiwałaby autorowi z tytułu jego pracy w jednym nakładzie (tj. około 2500 zł). Warunkiem wypłaty tej kwoty będzie stwierdzenie przez sąd konkursowy, że praca została napisana zgodnie z wy-maganiami programowymi i dydaktycznymi.

k 4580-1

książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki

Włochy raz jeszcze



Julian Strykowski: Pożegnanie z Italią. Iskry 1954.

Biel kamienia, ultramaryna niebia, głęboka, czarna prawie zieleni cyprysów, powyginane kształty drzew oliwnych składają się na pejzaż czytelnikowi polskiemu znajomy i bliski. Po chmurnym, prześwieconym od wewnątrz, niebie Mazowsza, po łęgach wiślanych, topolach i wierzbach jest to jak gdyby drugi pejzaż polskiej literatury. Bo też nie ma chyba kraju tak głęboko wrośniętego w naszą kulturę jak Włochy. Głębiej na pewno niż Francja i zupełnie inaczej. Krajobraz francuski, poza wielkimi pejzażami Paryża, jest nam właściwie bardzo mało znany. I w gruncie rzeczy obcy. Ten spokojny, klasyczny krajobraz, o którym Erenburg pisał kiedyś, że wystarczy, aby zabrakło w nim jednego drzewa a zaraz odczuwa się jakąś lukę, nie bardzo pasuje do naszego mało klasycznego i mało spokojnego temperamentu narodowego. Z naszym odczuciem przyrody daleko lepiej harmonizuje romantyczny pejzaż włoski. Dlatego też tak często służył i służy za tło naszej literaturze.

Ta nie od dziś datująca się tradycja obłoku nazwy włoskich miast, ulic, pałaców, kościołów i muzeów patyną długoletniego obcowania i serdecznej znajomości. Znajomości, w której nie ma nic z turystycznego zainteresowania dla każdej egzotyki. Z własnej literatury, nie z Baedekerów, czerpiemy naszą wiedzę o Włoszech. Wiemy o gołębiach na placu San Marco, bo pisał o nich Żeromski. Wiemy, że najpiękniejszy widok na Florencję rozciąga się z Piazzale Michel Angelo, bo tam prowadzi Krasowiczka Carla w „Kongresie we Florencji” Iwaszkiewicza. Wiemy i o wielkiej nędzy, o wielkiej nadziei ludu włoskiego — a milczą o niej wszystkie Baedekery — bo pisze o tym Strykowski w „Biegu do Fragał”.

Tradycja ta nie tylko nie wygasła ostatnio, ale umocniła się jeszcze nowymi wieziami. W ciągu dziesięciolecia wyszły u nas cztery ważne pozycje beletrystyczne — a jest już podobno i piąta — poświęcone w całości Włochom. Czwartą właśnie — po „Nowelach włoskich” Iwaszkiewicza, „Spotkaniach włoskich” Mariana Brandysa i „Biegu do Fragał” — jest „Pożegnanie z Italią” Juliana Strykowskiego.

Niewielka to książeczka. Wydana w dość niezgrabnym formacie, z

interesująco dobranymi ale źle reprodukowanymi ilustracjami, zawiera bardzo różnorodną treść. Tak różnorodną, że aż budząca obawy o jednolitość kompozycyjną tomu. Czego tam bowiem nie ma! Wrażenia z kasyna gry w San Remo i szkice o malarstwie włoskim, reportaże z manifestacji pokojowej i rozważania o Savonaroli, publicystyczny essay o Pietro Nennim i opowiadanie o lamistrajku. Zdawałoby się — groch z kapustą, wymiecioną szufladą. Ale już pierwsze strony książki rozwiewają wszelkie obawy. Jak to jest napisane!

Przed wszystkim „Gino z Pietrassosa”. Opowiadanie to, drukowane przed laty w „Odrodzeniu” i podpisane nieznanym jeszcze nazwiskiem pisarza obudziło wielkie i niepoprawne, jak widać, nadzieje. Ale czytając je na nowo dokonujemy odkrycia. Przecież to jakby pierwszy, nowelistyczny rzut „Biegu do Fragał”. Znajdujemy tu nie tylko zarysowany już w pełni kontur psychologiczny niektórych bohaterów (Salvatore, Don Luigi) ale także, w dużym oczywiście skrócie, cały konflikt dramatyczny powieści. O ile mi wiadomo, żaden z recenzentów „Biegu do Fragał” tego nie zauważył. A przecież uważa obserwacja rozbudowy psychologicznej danych już w tym opowiadaniu postaci, jak też rozbudowy dramatycznej danego już w tym opowiadaniu wątku, mogłaby rzucić ciekawe światło na warsztat pisarski Strykowskiego.

Szkice o renesansowym malarstwie włoskim zdumiewają — co w essayu jest zawsze problemem wartości — odkrywczością i trafnością skojarzeń. A gdy Strykowski wskazuje na społeczny sens sztuki wielkich mistrzów Renesansu, gdy pisze, że Michał Anioł, Rafael, Tintoretto tworzyli przede wszystkim dla ludzi swego czasu, odzwierciedlali konflikty swojej epoki, uczęstniczyli na swój sposób w niepokojach, nadziejach i walkach ludzi im współczesnych, nie jest to tylko gołosłowne sformułowanie zasadniczej tezy estetyki marksistowskiej. Z wielką swadą i znajomością przedmiotu, czasami chciałoby się rzec — erudycja, przeprowadza on w każdym wypadku dowód logiczny na potwierdzenie tej tezy.

O publicystyce zawartej w tomie wystarczy powiedzieć jedno — że wytrzymuje sąsiedztwo takich gatunków literackich jak opowiadanie czy essay. Nie każda wytrzymałaby taką próbę. Może tylko najsłabszy, najbardziej zdawkowy reportaż „Enzio się irytuje” wychodzi z niej ze szwankiem.

Książka Strykowskiego, świadcząca o bardzo niepowierzchnym rozumieniu przeszłości, zniwiera zaangażowaniu w walkę dnia dzisiejszego i niezłomnej wierze w przyszłość Włoch, tchnie tak serdecznym umiłowaniem tego kraju, jego ludzi, kultury i krajobrazu, że nazwać by je można patriotyzmem, gdyby pod piórem obokrajowca i komunisty nie nazywało się to inaczej. Internacjonalizm.

Jerzy Lisowski

Szlakiem orlich gniazd



Danuta Bieńkowska: Szlakiem orlich gniazd. „Nasza Księgarnia” 1955, cena zł 11.50.

Książka Danuty Bieńkowskiej powstała z niewątpliwie służących założów pisarskich. Tkwią w niej potencjalnie elementy dobrej, pełnowartościowej powieści dla młodzieży: przygodowa fabuła, ciekawie naszkicowane sylwetki bohaterów, których zróżnicowane indywidualności każą oczekiwac poważnych i prawdziwych konfliktów moralnych i wreszcie — rzetelny, skrupulatnie i pracowicie zebrany materiał naukowy.

Lekturę powieści rozpoczynamy z zainteresowaniem. Autorka przedstawia zręczne osoby działające i zapowiadają czytelnikowi piękną wódcę szlakiem orlich gniazd, po najbardziej malowniczych zakątkach kraju. Trasa wycieczki prowadzi przez Giebułtów, Ojców, Olkusz, Ogrodzieniec, Złoty Potok do Olsztyna. Żywe, barwne obrazy przyrody, zamilowanie i zjawstwo widoczne w opisie starych zabytków to niezaprzeczalna wartość tej książki, której jednym z zadań wychowawczych jest właśnie budzenie zainteresowań turystycznych, pasji poznawania własnego kraju. Ale i na tych najpiękniejszych krajoznawczych opisowych kartach książki zaciążył dokuczliwy, natrętny dydaktyzm, przenikający wszystkie wątki, dominujący we wszystkich warstwach tej powieści. W partiach popularno - naukowych i historycznych, w relacji o perypetiach bohaterów, a także w reportażowych wstawkach.

I tu chyba leży przyczyna rozczarowania, zawodu z jakim zamykamy książkę. Ograniczenie materiału naukowego na rzecz lekkości gawędzi gwarantowałyby większą przyswajalność pożytecznych i kształcących wiadomości. Powieść, którą w połowie wypełniają najcenniejsze datami wykłady, suche jakby „zywcem” z podręcznika, czy przewodnika turystycznego wyjęte informacje (które na domiar złego nie rzadko każe autorka wygłaszać kilkunastoletnim uczniom) staje się tylko pretekstem do jeszcze jednej i wcale nie najłatwiejszej lekcji historii czy geografii i to lekcji nieudanej. Bo ten sam czytelnik, który z zapalem pochłania powieść podróży, czy historyczną zaledwie rzuci okiem na te w ogromnej większości encyklopedyczne informacje, nie stanowiące żadnej pomocy dla wyobraźni.

Obiecując zasygnalizowane w pierwszych rozdziałach konflikty psychologiczne nie zostały także przeprowadzone przekonywająco. Nie wszystkich bohaterów z ich wewnętrznymi kłopotami, przyzwyczajeniami i namietnościami potrafiła autorka dość serio. A przecież Romek, który twierdzi o sobie „urodziłem się na wodza”, Felek, o którym mówią chłopcy, że ma „długie ręce”, młodzieńcza fantazja Jurka podseptużką mu nieoczekiwane pomysły — to sprawy naprawdę poważne, kryjące w sobie istotne niebezpieczeństwa. Sprawy, które wymagałyby w życiu nie tylko długotrwałego oddziaływania najpiępszego, najbardziej zgranego kolektywu, ale także mądrej, konsekwentnej i przemyślanej interwencji doświadczonych pedagoga. W powieści rozwiązują się jakoś

zbyt łatwo, spontanicznie i po prostu. Wszyscy winowajcy bez trudu przychodzą do zrozumienia swoich błędów, dopełniają aktu skruchy, składają samokrytykę i bardzo często sami lub z wydatną pomocą swego nauczyciela i opiekuna finalizują zająście dobitną punktą, budującym wnioskiem.

Tak więc jesteśmy rozczarowani. Ambitny zamysł pisarski nie znalazł pełnej realizacji artystycznej. A szkoda, bo powieść miała szanse stać się naprawdę ciekawą, porywającą lekturą. Autorka umie przecież konstruować fabułę, zainteresować i co najważniejsze — potrafi przekonać, że pasjonujące przygody i emocje mogą być udziałem każdego młodego chłopca, że w ramach skromnej wycieczki, odbytej pod troskliwą opieką nauczyciela można zobaczyć, przeżyć i nauczyć się wiele.

Wydaje się, że zasadniczą przyczyną braków i niedociągnięć po-

wieści Bieńkowskiej jest stare nieporozumienie wokół adresata, niedocenianie odbiorcy. I miałyby się ochotę powtórzyć jeszcze raz kilka prawd oczywistych, kilka truizmów o tym, że młody czytelnik nie tak znów bardzo różni się od nas, że szuka i oczekuje od literatury tego samego co i my, dorośli, że zniechęcają go wszelkie widoczne zabiegi pedagogiczne, że wcale nie łatwo rezygnuje i daje się przekonać w swojej polemice wewnętrznej z pisarzem. Ten czytelnik protestuje przeciw odmawianiu mu prawa do autonomicznego myślenia, opiera się gotowym sformułowaniom, niechętnie korzysta ze spreparowanych na jego użytek i „ku pożytkowi” prawd. I chyba ma w tym dużo racji. Okazmy więcej zaufania jego wrażliwości, instynktowi moralnemu, umiejętności uogólniania i samodzielnego myślowego.

Krystyna Nastulanka

Książka niewyzyskanych możliwości



Jadwiga Zylńska: Muzykanci z Bremy. Muzyka. Opowiadania. „Czytelnik” 1955, str. 142, nb. 2. Cena zł 5.80.

Muzykanci z Bremy” mają bardzo ładną okładkę. Cała niebieska, nocna, przecięta, jest białym prostokątem uchylonych drzwi, przez które wlewa się światło. Przed drzwiami stoi kilka sylwetek ludzkich.

Ta okładka jest ilustracją do pierwszego z umieszczonych tu opowiadań, ale przede wszystkim stanowi streszczenie książki, zawiera jej charakterystykę i ocenę.

Każde z tych opowiadań stoi przed bramą, za którą dzieje się literatura z prawdziwego zdarzenia. Każde uchyla tę bramę i pozwala spojrzeć w głąb. Każde zostaje po tej stronie.

„Muzykanci z Bremy” są książką bardzo ambitną. Mówią o wielkiej przemianie. Ich akcja rozgrywa się na progu Polski Ludowej, w roku wyzwolenia i w latach następujących tuż po nim. Zylńska pokazuje te czasy w proporcjach bardzo prawdziwych, na ludziach bardzo zwyczajnych. Jej właściciel knajpy — nie awansując przez to na postać pozytywną — nie pozostaje na usługach obecnej czy rodzimej dywersji, jej postacie pozytywne nie dokonują wielkich czynów. Większość z nich zaczyna dopiero coś niecoś rozumieć. Tak przecież wyglądała rzeczywistość tych lat.

Bijący z tej książki optymizm jest prawdziwy i rzetelny. Oparty na realistycznej motywacji, oparty na prawdziwej psychologicznej. Bohaterka drugiego opowiadania, awansująca ze służącej na kierowniczkę spółdzielni Ludwisia - Gosiarka, jest właśnie typowym przykładem tego nie załaganego optymizmu, przewidywającego pasją życia życiowe kłaski w sposób w pełni przekonujący. Opowiadanie to przypomina nieco utwory Marii Dąbrowskiej, podobnie jak bliskim Iwaszkiewiczowskiej prozie wydaje mi się „Równanie z paru niewiadomymi”.

Ale to wszystko do satysfakcji czytelnicy jeszcze nie wystarczy. Sprawa ukształtowania materiału literackiego będzie teraz sprawą decydującą.

Zylńska nie potrafi pisać bez silnego efektu artystycznego, bez zaskakującej pointy, bijącego w oczy kontrastu, uderzającego oryginalnością pomysłu. Poza Ludwisia-Gosiarką, która drzwiami wiodące do dobrej literatury uchyla bardzo powoli i statecznie, na sposób epiki, wszędzie tam, gdzie Zylńska daje lub mogłaby dać nowe, cenne wartości, jest pomysł, jest efekt. I to jest dobre i to trzeba pielęgnować w jej pisarstwie.

Nie ma jednak co ukrywać, że w realizacji tych pomysłów przeważają porażki, przeważa nie wytrzymanie tempa, niedoświadczenie. Jakże

wspaniałe możliwości zamyka w sobie pomysł zawiąznięcia zameczkiem niemieckiego magnata przez uciekinierów z obozu, przede wszystkim zaś pomysł ich przebrania się w fantastyczne stroje odkryte w książkowej garderobie — a jak mało z tych możliwości wykorzystuje autorka — nie umiając nawet powozać tego pomysłu z centralną sprawą noweli: z opowiadaniem bohaterów, postanawiających walczyć o przekształcenie świata („Die Bremerstadtmusikanten”). Jakże naiwne, jak po dziennikarsku bledzi się ze swymi kontrastami, gdy na dwa osobne opowiadania rozbiła nowelę „W Kamieniu i gdzie indziej”, gdy do przedwojennej matki niesubległego dziecka szluznie dokleja powojenną („Opowiadanie prowincjonalne”).

Ale seria point noweli o przebranych zbiegach, seria zakończona propozycją odegrania przez nich przedstawienia i odpowiedzi, ja otrzymując na tej propozycji zdecydowanie żołnierze amerykańscy: „To niemożliwe. Ugodziliśmy zaledwie program. Na występ nie jesteśmy jeszcze przygotowani” — to już jest skrót będący prawdziwym osiągnięciem literackim. A osiągnięciem nie mniejszym są słowa, z którymi umiera Katarzyna Jarmuż, służąca klasyczna, żalostna usprawiedliwiająca całe jej życie słowami: „To wielmożne państwo...” (O opowiadanie prowincjonalne). Nie usłyszeliśmy ich z ust pracownicy złobka, gdzie — jak sądzi Andrzej Kijowski — autorka mogłaby równie dobrze zakończyć opowiadanie o losach Katarzyny Jarmuż. Ale to w ogóle dłuższa historia.

Książki są jak dzieci. Ufne, bezbronne, zdane na łaskę i nienaszkę. A krytycy są jak źli chłopcy, którzy je tłuką gdzie popadnie, albo jak dobre ciotki, które im zamulają żółdki słodzcami. Rzadziej jak wychowawcy.

Pisujący zwykle brytywa — znakomicie zresztą wystrzona — Kijowski nie przepuścił i „Muzykantów z Bremy” („Życie Literackie, 1955 nr 10). Wniósł do tej książki wiele pretensyj słusznych a także wiele niesłusznych. Jego pretensja zasadnicza mieści się w słowach: „Ale czytelnika trzeba gwałcić, bić, trząść nim, a nie „zwracać mu uwagę na pewne ważne zagadnienia”. Ta metafora jest trochę zabawną w stosunku do pisarki, której literacki portret trzeba by nakreślić w słowach: szlachetna, delikatna, bardzo kobieca, trochę egzaltowana. Jakże to taka niewiasta ma kogoś gwałcić? Ale to tylko metafora.

Jeden z zarzutów Kijowskiego leżących u genezy pretensji wymienionej powyżej dotyczy warsztatu pisarki, dotyczy przede wszystkim „efekciarstwa”, które jej Kijowski odradza jak najusilniej. W miejsce uważnej diagnozy, w miejsce wykazania błędów i osiągnięć tendencji, która stanowi specyfikę pisarstwa Zylńskiej — Kijowski uciną jej głowę.

Na okładce „Muzykantów z Bremy” strumień światła jest wazutką. Wiele obserwacji pozwala jednak przypuszczać, że gdyby grafik opracowujący następną książkę Zylńskiej poszedł za metaforą krytyki — drzwi na rysunku stanęłyby otworem.

Gdyż, jeśli pisząc o książce, trzeba położyć nacisk na słowo: nie wyzyskać, to oceniając pisarkę trzeba położyć nacisk na słowo: możliwości.

Jerzy Kwiatkowski

Reportaże nie nudne



Lucjan Wolanowski: Na południe od Babiej Góry. „Iskry” 1954, str. 100. „Śladami brudnej sprawy”. „Książka i Wiedza” 1954, str. 63.

Liczby planów, dane statystyczne, sztywne postacie bohaterów i lakierowane tła — to cechy charakterystyczne wszystkiego niemałego, co czytaliśmy o Czechosłowacji na przestrzeni dziesięciolecia w naszych gazetach. Zaciążyła nad polskimi reportażami z tego kraju nie tylko ogólna szampa, lecz również niezrozumiała tendencja przemilczania przeszłości, tego, co nas łączyło i co nas kiedyś dzieliło. Rezultat jest taki, że młodsze pokolenie zarówno w Polsce, jak i w Czechosłowacji nie może pojąć i zrozumieć źródeł przedwojennych oficjalnych antagonizmów polsko-czechosłowackich. Oświecić przychodzących tych antagonizmów w należyty sposób, a więc przyczynić się do ich ostatecznego anulowania, jest sprawą, wydaje mi się, ważną.

Te bardzo zresztą ogólne uwagi masują się na myśl, kiedy czyta się niepozorną książkę, reportaże Lucjana Wolanowskiego pt. „Śladami brudnej sprawy” — i te same uwagi przychodzą do głowy przy lekturze małego zbioru reportaży Wolanowskiego pt. „Na południe od Babiej Góry”.

Autor łamie sztamę — i to zarówno jeśli chodzi o pominięcie „ochów i achów”, jak i o tendencję do przemilczania tego, co było. W reportażach „Na południe od Babiej Góry” spotykamy zarówno opowiadanie o „Svatce” — o praskim biurze małżeńskim, które nie tyle kojarzy małżeństwa ile pomaga im w urządzeniu sobie pierwszego okresu życia — jak i opowiadanie o egzotycznych ciekawostkach Złotej Pragi, o zegarze staromiejskim, co do którego nudziarze i schematyści mogą z pełnym prawem zapytać: „o ile on pomaga w budowie socjalizmu?”. W pięciu reportażach stanowiących cykl „Na południe od Babiej Góry” czytamy zarówno o „Morzu słowackim” (wielkie jezioro sztuczne), jak i o „Szewcach”, którzy wbrew przyszłowi chodzą jednak we własnych butach. Raz za razem autor, ażeby zbliżyć czytelnikowi dzisiejszość czechosłowacką, sięga do przeszłości, oprowadza nas po wydarzeniach, które działy się kiedyś, a o których nie pisali kiedyś reportażyści burżuazyjni. Mamy tu więc do czynienia z wykorzystaniem w reportażach elementów porównawczych, a raczej informacyjno-porównawczych z przeszłości w najlepszym znaczeniu słowa, w myśl zasady, że nie wystarczy powiedzieć „było źle”, że to trzeba pokazać.

Niestety jednak Wolanowski w tym swoim zbiorze pięciu reportaży „Na południe od Babiej Góry” okazał się nie dość konsekwentny. Mowa o „Stalowym sercu republik”, któ-

ry to reportaż pokazuje rozbudowę Zagłębia Ostrawskiego, tego „klucza socjalizmu”, jak nazywa się prasa czechosłowacka. Nasuwa się tu myśl, że autorzy reportaży i książek reportażowych liczby i dane statystyczne powinni podawać, jeśli już muszą, w formie aneksu na samym końcu swoich utworów. To mogłoby usunąć zarzuty sprawozdawczości publicystycznej, pey achillesowej wielu naszych reportaży.

Druga bardzo ważna pozycja reportażowa z Czechosłowacji, jaką dał nam Wolanowski — to wymieniony już tytuł „Śladami brudnej sprawy”. Czyta się tę rzecz od początku do końca z niesłabnącym zainteresowaniem, a jeśli próbować się kiedyś samemu pisać reportaże — czyta się też podglądając robotę autora, Wolanowskiego nazwano niedawno w żartobliwy sposób w „Przekroju” — Kischem „Świata”. Nawiązania do Kischy widzimy w reportażu o szewcach (zbior „Na południe od Babiej Góry”); i Kisch jest niewątpliwie mistrzem autora „Śladami brudnej sprawy”. Forma reportażu Kischy, sposób konstrukcji jego reportażu (a raczej wiele sposobów) — to, co podnosi reportaż dziennikarski do rangi pełnowartościowego utworu literackiego — jest umiejętnością, którą Wolanowski stara się przejąć od Kischy i tu i ówdzie z powodzeniem stosuje.

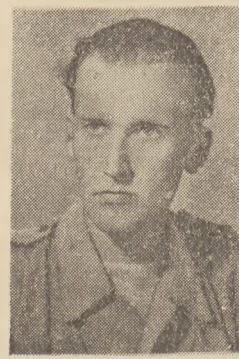
O czym mówi ten drugi, z omawianych tu, żywy i barwny reportaż, pisany częściowo chwytami i stylem kischowskim (jeśli ten styl da się w ogóle naśladować), „Śladami brudnej sprawy” mówi o tym co nie było dotychczas pokazane. O pewnym, bardzo ważnym odcinku sanacyjnej polityki „wielkomocarstwowej”. Wolanowski stawia przed oczyma czytelnika główne postacie gry, — i to najważniejsze: nie papierowe, ale żywe wraz z ich ludzkimi cechami. Rzecz dzieje się w Warszawie, w hotelu „Victoria” przy ul. Jasnej, w domu na Książęcej 21, gdzie mieszkał kiedyś nuncjusz Ratti, w hotelu „Carlton” w Bratysławie, w kancelarii Rzeszy itd. Zarówno tok opowiadania reportażowego, jak i jego język stanowią tu o atrakcyjności lektury.

Dla znającego temat, sprawy kolaboracji Abwehry i sanacyjnego Sztabu Generalnego na terenie Słowacji są właściwie tzw. samograjem. Mamy tu do czynienia z olbrzymią ilością nietkniętych, nie wykorzystanych jeszcze materiałów. Wolanowski dokonał umiejętnego wyboru, „posegregował” wydarzenia i ludzi, ożywił, nadał opowiadaniu reportażowemu odpowiednią formę literacką.

Nie byłoby, rzecz jasna, tych wszystkich uwag, gdyby nie talent, z jakim mamy do czynienia w osobie autora. Z dziennikarstwa często, choć nie zawsze, wychodzą literaci. Mówiło się pod czas jednej z dyskusji nad reportażami w Stowarzyszeniu Dziennikarzy, iż jest rzeczą wątpliwą czy nasze, uginające się pod brzemieniem schematyzmu i sztammy dziennikarstwo — będzie w stanie wydawać literatów. Trudno tę sprawę tak czy inaczej przesądzić. Obciążenia na „nie” są w każdym razie olbrzymie. Wolanowski jest przykładem na „tak”; daje przekonujące przykłady swoich możliwości.

Andrzej Piwowarczyk

Barwny autentyk



Tadeusz Klimaszewski: Uciekleć z Legii Cudzoziemiejskiej. „Czytelnik”, 1954 nr 1, str. 336.

Urzeczony niewykłóścią drogi życiowej, którą opisał w swej książce — wspomnieniu Tadeusz Klimaszewski, pomyślałem na chwilę o słowach Tacyty: „im więcej uprzętniam sobie zdarzeń świeżych i dawnych, tym bardziej we wszystkich sprawach nasuwa mi się gra przypadku wobec losów ludzkich”. Słowa w tym wypadku niesłuszne, ale bardzo sugestywne. No bo od warszawskiego mieszkanka z widokiem na brudne podwórko i fabrykę pieców żelaznych do Wietnamu — i to poprzez Szwecję, Francję, Algier — daleka droga. Mimo to w życiu człowieka, który powrócił po latach do Polski z niezatartym wspomnieniem obcych miast, ludzi i krajoobrazów, nie jesteśmy skłonni szukać gry przypadku.

W krótkim zdaniu opowiedzieć można bardzo dużo: praca w kamieniołomach Turynii, potem pobyt w szpitalu, ewakuacja do Szwecji. Koniec wojny. Niestety nie jed-

noznaczny z powrotem do kraju. Propaganda emigracyjna działa. Więc zostają — autor opowieści, jego koledzy. „Auslenderom” trudno zdobyć w Europie pracę. Pozostaje zaciąg do Legii Cudzoziemiejskiej, mało zaszczytna służba w Algierze. Ostatni, decydujący rozdział życia autora na obczyźnie jest zawsze najciekawszy. Stanowi nową relację — tym razem bardzo osobistą — o dalekim, a tak bliskim (dzięki Żukrowskiemu i Żuławskiemu) kraju. Autor omawianej tu opowieści przybył do Indochin, by bronić interesów kapitału francuskiego, opuścił zaś demokratyczny Wietnam, żegnany przez rdzennych mieszkańców słowem „ank” — co znaczy w naszym języku brat. Właśnie tu, gdzie najtrudniej było zakryć brudne sprawy frazesem patriotycznym, dojrzała do buntu, decyduje się na ucieczkę z Legii, przejdzie do szeregów armii ludowej. Wypadek bynajmniej nie sporadyczny (jak o tym wiemy np. z relacji Żukrowskiego), ale w osobistym wspomnieniu człowieka, który powrócił i jest pośród nas, nabiera szczególnej wagi.

Klimaszewski opowiada swoje przeżycia językiem barwnym (rzadko zdarzy się dłuższa, przewlekła nieco narracja) w układzie materiału, podzielonego na małe rozdziały kładące razową troskę o żywą kompozycję całości wspomnień. To się autorowi udało. Natomiast nie podoba mi się zbyt „ekshibicjonistyczny” wstęp w którym widać niepotrzebne zażenowanie autora, że się urodził w środowisku akurat drobniomieszczańskim, a nie np. chłopskim.

Ryszard Wasila

PRZEDSIĘBIORSTWO SPRZEDAŻY PRASY ANTYKWARYCZNEJ „RUCH”

prowadzi kupno i sprzedaż

WSZELKICH DAWNYCH CZASOPISM POLSKICH I OBCYCH —

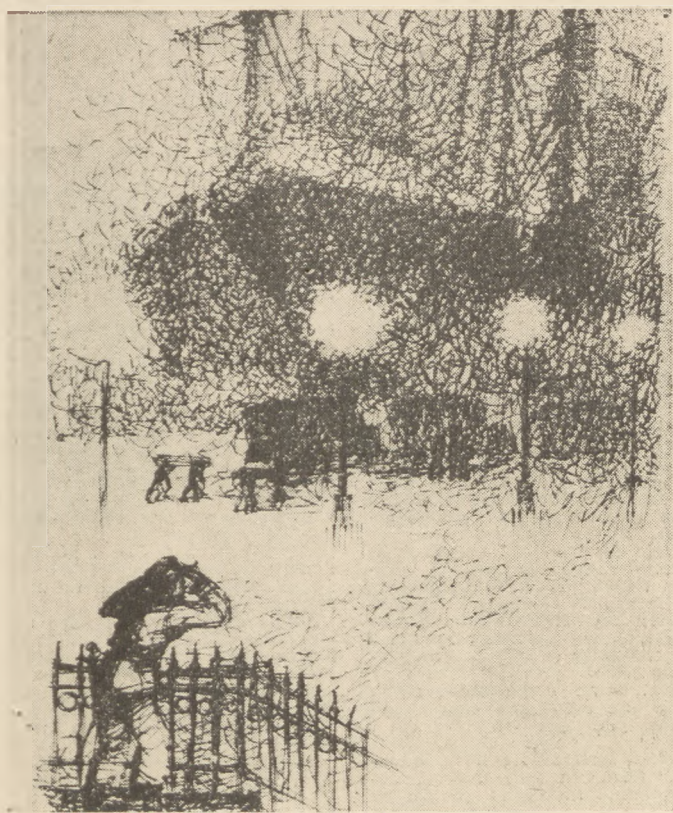
KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH —

(Dzienniki — Tygodniki — Miesięczniki — Kwartalniki — Sporadyki)

w swoich punktach sprzedaży w Warszawie przy ul. Wiejskiej 14 i Puławskiej 108.

Przedsiębiorstwo prowadzi również sprzedaż prasy zdezaktualizowanej. Zainteresowani spoza Warszawy mogą porozumieć się korespondencyjnie.

k 1564-1

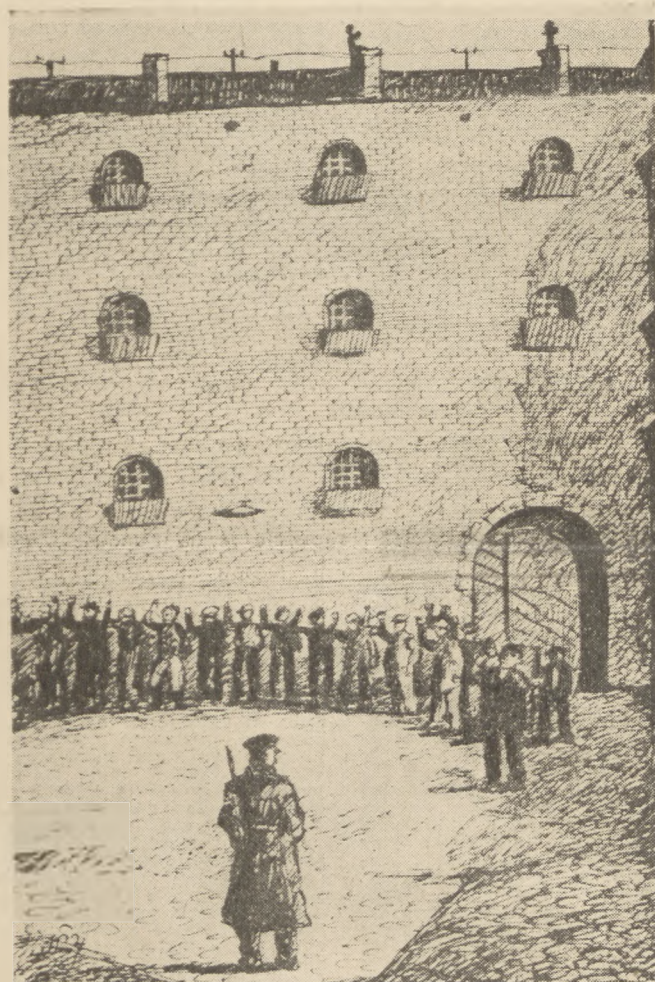


Jan Samuel Miklaszewski — Ilustracja do książki: M. Żulawski — Czerwona rzeka



Marian Bogusz — Ilustracja do wiersza: J. A. Rimbaud — Romans

ILUSTRACJA POLSKA



Ignacy Witz — Ilustracja do książki: L. Pasternak — Komuna miasta Łomży



Jerzy Jaworowski — Ilustracja do książki: P. Neruda — Pieśń powszechna



Wiesław Majchrzak — Ilustracja do opowiadania: St. R. Dobrowolski — Warszawa w 1905 roku.

Z
WYSTAWY
W
WARSZAWIE

Nowe książki

GIOVANNI VERGA: „RODZINA MALAVOGLIÓW”. Tłumaczyła Barbara Sieroszeńska. Wstępem opatrzył Julian Strykowski. „Czytelnik”, 1955, cena zł 10.

Giovanni Verga rozpoczął swą karierę literacką w roku 1836, jako 16-letni młodzieniec. W najlepszej, najbardziej dojrzałej epoce swej twórczości był przedstawicielem weryzmu, kierunku w literaturze i muzyce włoskiej II połowy XIX wieku, będącego włoską odmianą naturalizmu.

Najważniejszą cechą weryzmu był dla Vergi bezosobisty stosunek autora do stworzonych przezeń postaci. Idealem utworu powinna być absolutna niewidoczność ręki artysty, to jest absolutna nieobecność, wyeliminowanie osobowości twórcy. To dopiero może zgodzić z teoriami Vergi dać gwarancję całkowitej prawdziwości, obiektywizmu, adekwatności dzieła sztuki z opisywanym światem — pisze Julian Strykowski we wstępie do książki.

Będąc człowiekiem 35-letnim cieszył się Verga popularnością wśród czytelników dzięki swym powieściom młodzieńczym o charakterze melodramatycznym — awantur- nym, takim jak: „Ewa”, „Królewska Tygrysyca”, „Grzesznica”, „Eros”. Punktem zwrotnym w jego twórczości było opowiadanie „Nedda”, które zapoczątkowało szereg świetnych powieści sycylijskich. „Rodzina Malavogliów” jest jednym z najlepszych, lub najlepszym

dziełem spośród nich. Powieść została zamierzona jako pierwsza część pięciotomowego cyklu. Niestety, zamiast tego nie udało się pisarzowi zrealizować. Napisane zostały tylko dwie pierwsze części „Rodzina Malavogliów” i „Mastro don Gesualdo”. Treścią „Rodzina Malavogliów” jest historia sycylijskiej rodziny rybactwa, borykającej się z okrutnym losem, skazanej na zagładę w ówczesnych stosunkach społecznych. Mimo ambicji, chłodnego, obiektywistycznego relacjonowania książka pełna jest życia, ciepłego stosunku do człowieka, wiary w człowieka, wiary w lud.

LI GI JON: „ZIEMIA”. Tłumaczył z rosyjskiego Mikołaj Dąb. „Czytelnik”, 1955. Cena zł 11,40.

Li Gi Jon jest pisarzem koreańskim. Urodził się w roku 1893 w biednej rodzinie chłopskiej. Pierwsze powstanie ludu koreańskiego w roku 1919 wywarło głęboki wpływ na jego świadomość polityczną i kierunek pracy pisarskiej. Do ostatecznego skrytalizowania się poglądów Li Gi Jona przyczyniło się powstanie Koreańskiego Partii Komunistycznej, a później — Związku Koreańskich Pisarzy Proletariackich. Li Gi Jon od tego momentu oddaje swą sztukę w służbę mas ludowych. Wówczas też powstają opowiadania: „Wies”, „Etyka głupców” oraz powieść „Wies rodzinna”.

Okupanci japońscy likwidując w

roku 1934 Związek Koreańskich Pisarzy Proletariackich większość jego członków wtrącił do więzienia. M. in. Li Gi Jon został pozbawiony wolności na okres dwóch lat, a potem pozostał pod nadzorem policji. W roku 1945 po wyzwoleniu Korei przez wojska radzieckie rozwija nie tylko ożywioną działalność pisarską, ale i polityczną (w 1948 roku zostaje członkiem Prezydium Zgromadzenia Ludowego Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej). W tym też czasie powstaje powieść „Odrodzenie” poświęcona zagadnieniom reformy rolnej i „Ziemia” — najpopularniejsza obecnie książka w Korei. Akcja powieści rozgrywa się w latach 1946-47. Bohaterem jej jest chłop koreański Kuak Ba Wi, który po ogłoszeniu w początku marca 1946 roku ustawy o reformie rolnej otrzymuje po raz pierwszy własną działkę ziemi. W ostatnich rozdziałach książki widzimy go w Phenianie, gdzie jako delegat prowincji Kangwon bierze udział w zjeździe przedstawicieli Komitetów Ludowych w Północnej Korei. Kuak Ba Wi to typowy reprezentant ludu koreańskiego a jego losy, jego awans społeczny jest wynikiem przemian, jakie przechodzi wieś koreańska.

BALZAC: „BAL W SCEAUX”. Przetłumaczył i wstępem opatrzył Julian Rogoziński. „Czytelnik”, 1955, cena zł 14.

Nowy tom Balzaka zawiera trzy utwory: „Ulica Kota z Rakietką”, „Bal w Sceaux” — napisane w roku 1829 i należące do „Scen z życia prywatnego”, oraz „Piotrusiek”,

która powstała w dziesięć lat później i zaliczona została przez autora do „Scen z życia prowincji”. Czytelnik znajdzie w tej książce wizerunki 3 dziewcząt: mieszczyń, szlachcianki i chłopki, gdyż Piotrusia wychowana w zapadłej mieścinie bretońskiej jest właściwie wieśniaczką; otóż choć te trzy charakterystyki różnią się od siebie, przyczyna trzech poszczególnych dramatów tkwi tutaj zawsze w środowisku burżuazyjnym — czytamy w komentarzu redakcji. Na kartach tej książki spotka czytelnik z „Komedią ludzką” starych znajomych: reagenta Roguin z „Historii wielkości i upadku Cezara Birotteau”, hrabiego de Fontaine, wymienionego po raz pierwszy w „Szuanach”.

ANNA SEGHERS: „OPOWIADANIA”. Przetłumaczył Z. Petersowa, B. Placzkowska, A. Sowiński, M. Wirpsza — Kurecka, M. Wolczacka i J. Marecka. Posłowiem opatrzył Wilhelm Szewczyk. PIW 1955, cena zł 19.

Zbiór opowiadań Anny Seghers ukazuje się jako kolejny tom wydawanej przez PIW „Biblioteki Laureatów Nagrody Stalinowskiej za utrwalenie pokoju między narodami”. Zamieszczono tu najcenniejsze spośród opowiadań pisarki, które powstały w latach 1928 — 1952. Otwiera tom opowiadanie „Bunt rybaków z Santa Barbara” — pierwszy utwór literacki wielkiej niemieckiej pisarki. Dalej znajdziemy opowiadanie „Chłopi z Hruszowa” oparte na historii, którą autorka usłyszała od sekretarza Okręgowej Organizacji Partyjnej na Rusi Podkarpackiej, — „Ostatnią

W KINIE I GDZIE INDIJIE

Lektura obowiązkowa

Nadmiać atrakcji nie sprzyja chodzeniu do kina. Atrakcją, którą emocjonuje się obecnie publiczność warszawska jest Wyścig Pokoju, wielkie widowisko dla wyobraźni (jest w tym coś zastanawiającego: ludzie emocjonują się na podstawie wiadomości gazetowych i radiowych; emocjonują się wyobrażając sobie zapasy toczące pomiędzy drużynami kolarskimi. Czy gdyby kolarze w ogóle nie jechali, a jedynie prasa podawała wiadomości o tym, że ktoś tamkoś przegonił, Wyścig byłby równą atrakcją? Jest to interesujący przyzwyk do tezy, że w czasach nowoczesnych wzrasta stale rola wyobraźni i abstrakcyjnego myślenia). Atrakcją jest niespodziewana zupełnie w tym roku, ale jednak będąca faktem wiosna. Nie warto chodzić do kina.

Wieczorem jednak, kiedy zamykają parki, a o kolejnym etapie Wyścigu wszystko już jest wiadome, warto zająć się lekturą, szczególnie, że pojawiła się na półkach księgarskich (i pewno niedługo z nich zniknie) książeczka, która powinna stać się „obowiązkową lekturą” czytelników „W kinie i gdzie indziej”. Mam na myśli „Parodie” Artura Mąry Swinarskiego.

Jest to rzecz pełna wdzięku, równa nieśmiertelnym Bygowskim „Słówkom”. Jest również ten tomik lekturą niezwykle pouczającą, choć to „tylko” satyry najłepszego współczesnego parodysty. Zaraz postaram się wytłumaczyć dlaczego.

Pewna maturzystka, zapytana na egzaminie wstępnym na wyższą uczelnię, dlaczego czyta książki, odpowiedziała: „Żeby się wychowywać”. W innych wypadkach nieraz spotykam zdanie, że do Mickiewicza sięga się po inspirację, do Słowackiego po pasję polemiczną, do Norwida po głębię. Nasz „kurs na tradycję”, słuszny i uzasadniony, przyniósł ze sobą coś w rodzaju nowej fali brązownictwa. Świętości narodowe znów poogradzano plotkami i zaopatrzono w tabliczki: „Przechodniu, zdejm kapelusz”. Pomnikom odświeżono wieńce laurowe i podporabiano listki gdzie trzeba. Niektórzy przejęli się aż nazbyt tymi zabiegami. Mam w swoim biurku sporą paczuszkę listów od czytelników, w których nieraz znaleźć można zdania w rodzaju „jak pan mógł napisać, że film o X-ie czy Z-cie jest niedobry, kiedy X i Z to wielcy ludzie” (tu następuje krótki wykład, jacy to oni byli wielcy). A byli, byli, tylko że mnie chodziło o coś zupełnie innego.

O coś zupełnie innego chodzi również Swinarskiemu. Po przywołaniu sobie bowiem Mickiewicza i Słowackiego, romantycznej pasji Słowackiego czy norwidowskiej głębi zostaje jeszcze coś, co jest właśnie bezpłatną przyjemnością — jakiś nastrój, rytm, rym, żart, cała ogromna frajda beśpośredniości obcowania z owymi wielkimi, nie na klęczkach, ale w klubowym fotelu; zostaje nieco malpiarskiej satysfakcji z zawrotnej pantomimy, jaką można wykonać do lustra klasycznego dzieła i na końcu, nie ze złością, ale z sympatią i szczeniakiem pokazać koniuszek języka. Parodie Swinarskiego dzieł Wielkich to właśnie

taka pantomima, wykonana z maestrią, niezwykłym wdziękiem, świetnym znanstwem. Czytając tę małą antologię literatury narodowej, jaką jest tomik „Parodii”, arcydzieła, dzieła i dzieła piśmiennictwa polskiego staje się nagle czymś łatwym, wdzięcznym w tej pogodnej karykaturze Swinarskiego, a jednocześnie czymś szalenie swojskim i bliskim. Tomik ten znacznie wyrażniej niż uczone rozprawy i akademickie recytacje w wiadomości nam, jak dalece żyjemy wszyscy w kręgu pojęć i form stworzonych przez naszą kulturę. Każdy prawie zwrot wygięty parodystycznie zwraca o korowody skojarzeń i reminiscencji, które już w nas są, które już są nami, bez których jesteśmy nie do pomyślenia. Figiel autora daje nam więc podwójną satysfakcję — pewne zbliżenie, ułatwienie i pogodnie niby — zdemaskowanie tego, co przywykliśmy oglądać z czcią i w milczeniu (zdemaskowanie jest oczywiście pozorne, bo nie chodzi o wyśmianie treści i istoty, lecz pewnego zespołu zewnętrznych chwytów), a jednocześnie parodią odświeża w nas i odkrywa przed nami samymi nie zawsze w pełni uświadomione pokłady kulturowe.

Sztukmistrz Swinarski pokazał, jak wycytane kiedyś lektury w nas samych procentują, tomik jego „Parodii” sam jest wdzięcznym procentem, jaki wyrósł na marginesie setki z górą lat piśmiennictwa polskiego.

Jest jeszcze w „Parodiach” jeden ton, który dźwięczy głównie przy tekstach współczesnych. Jest to ton zabawnego plotkarstwa, małych zdemaskowań współczesnych, jakichś zakulisowych wiadomości i uszczypliwości. Wydaje mi się zawsze, że nie dość doceniamy rolę plotkarstwa w kulturze. Nasz świat literacki, choć wewnątrz niejednokrotnie nabrzmiały plotkarstwem i to wcale nie zabawnym, na zewnątrz pragnie występować w postawie hieratycznej, surowej i posagowej. Zapomina się przy tym jednak, że środowiska artystyczno-kulturalne spełniają wobec odbiorcy często podwójną funkcję: są one producentem dzieł, myśli, idei, ale jednocześnie czymś w rodzaju widowiska dla publiczności. Na dworach renesansowych rola artysty miała czasem pewne pokrewieństwo z rolą trefnia, przy czym służył on jedynie mecenasowi. Przyglądając się reakcjom szerokiej publiczności na niektóre zdarzenia w świecie kultury nie jestem przekonany, czy ta rola odpadła z działalności naszych pisarzy i artystów. Nie chodzi tu o żadną dewaluację osoby pisarza — tworzyć widowisko dla narodu (elementami takich widowisk są np. wieczory autor-skie) to wcale zaszczytna rola.

Krzysztof T. Toeplitz

KONKURS MICKIEWICZOWSKI

Jury Konkursu Mickiewiczowskiego, ogłoszonego przez Związek Literatów Polskich, w składzie następującym:

Przewodniczący: Adam Mauersberger, członkowie: Kazimierz Kozłowski, Tadeusz Kubiak, Aleksander Malawski, Jan Spiewak, Mirosław Żulawski — na posiedzeniu w dniu 12 maja 1955 r. przynajmniej następujące nagrody:

W DZIALE PROZY:

I nagroda w wysokości 4.500 zł — Helena Bychowska, („Miś”) za pracę pod tytułem „U wód Karlsbadu”.

II nagroda — Teofil Syga („Domek”) za pracę pt. „Piersień z lirą”.

III nagroda w wysokości 3.000 zł — Wanda Krzeminska („Kępiński”) za pracę pt. „Przygoda Marii Bargin”.

IV nagroda w wysokości 1.500 zł — Barbara Rewkiewicz-Sadowska („Zawory”) za pracę pt. „Nad Bosforem”.

V nagroda — Leszek Szymański („Jaskółka”) za pracę pt. „Rogowy guzik”.

Wyróżnienie w wysokości 1.000 zł — Jerzy Mikke („Konrad”) za pracę pt. „Szczęście zostało piora do powrotu”.

VI nagroda w wysokości 1.500 zł poza konkursem — Krystyna Bernabik („Kryształ”) za pracę pt. „Pan Tadeusz był z nami”. (Ta ostatnia nagroda przynajmniej konkursu z powodu podania nazwiska niezależnie od godła).

W DZIALE POEZJI:

I nagroda w wysokości 3.000 zł — Włodzisław Krzeminski („Oktawa”) za cykl wierszy pt. „Legenda”.

II nagroda — Stanisław Lewiński („Old voice”) za poemat „Noc w Tuhanowiczach”.

III nagroda w wysokości 1.500 zł — Henryk Gaworski („Brzoza”) za wiersz pt. „Powrót pielgrzyma”.

IV nagroda — Jerzy Hordyński („Podłudnie”) za wiersz pt. „Wiek kłeski”.

V nagroda — Janusz Laskowski („Kos”) za wiersz pt. „Do mego synka”.

Wyróżnienie w wysokości 1.000 zł — Stanisław Czernik („Ordon”) za wiersz pt. „Legenda zdrażonego wojska”.

W DZIALE DRAMATU:

I nagroda w wysokości 4.500 zł — Aleksandra Tatarska-Skocka („Palestrant”) za sztukę sceniczną pt. „Murwane ściany”.

II nagroda w wysokości 1.500 zł — Malwina Szczepkowska („Ametyst”) za sztukę pt. „Wiek kłeski”.

Sąd konkursowy skorzystał z prawa zastępczego regulaminem nie przynajmniej lub podzielił poszczególnych nagród.

K. Nast.